POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 30-go maja 1942r.* **Rok IV. Nr. 22**

MIĘDZYNARODOWA SIŁA ZBROJNA

PRAWO I SIŁA NA STRAŻY POKOJU

Przeświadczenie, iż żadne prawo ludzkie nie jest skuteczne dopóki nie stanie za nim siła, oraz że trwały i sprawiedliwy pokój zapewniony będzie jedynie wtedy, gdy w stosunkach międzynarodowych Prawo wzmocnione zostanie przez Siłę nie jest bynajmniej nowe. Jego początki znaleść można w ideach politycznych starożytnych Greków.

W okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową, pewne dążności do urzeczywistnienia tej myśli w praktyce stosunków międzynarodowych przejawiły się najsilniej w Stanach Zjednoczonych i w Holandii.

W r.1910 obie amerykańskie Izby Ustawodawcze przyjęły rezolucję, stwierdzającą, iż dla zachowania powszechnego pokoju należało by stworzyć siłę międzynarodową, składającą się z okrętów wojennych różnych państw świata. W książce swej, wydanej w r. 1914 a zatytułowanej "Dlaczego Ameryka powinna przyłączyć się do Aliantów?" Teodor Roosevelt proponował, aby wszystkie cywilizowane narody świata "zobowiązały się działać wszystkimi swoimi *połączonymi* siłami zbrojnymi przeciwko państwu, które kosztem innego państwa naruszy prawo, uznane za obowiązujące." Prezydent Wilson podzielał—jak wiadomo—te zapatrywania T. Roosevelta, jednego ze swych poprzedników.

W Holandii głównie von Vollenhoven i baron von Asbeck już w okresie poprzedzającym tamtą wojnę zwracali uwagę na konieczność wprowadzenia sankcji wojskowych oraz utworzenia międzynarodowej siły wykonawczej, stale rozporządzalnej. W najnowszej literaturze znakomitym obrońcą idei tej stał się prof. de Leyden w dziele p.t. "Trzy etapy Prawa Narodów."

PO TAMTEJ WOJNIE

Na Konferencji Pokojowej w r.1919 francuski plan organizacji stosunków powojennych, wysunięty przez Leona Bourgeois, zalecał zastosowanie — oprócz dyplomatycznych, prawnych i gospodarczych—także i wojskowych sankcji, których wykonanie miało być powierzone albo międzynarodowej sile zbrojnej albo też jednemu lub kilku mocarstwom, które otrzymałyby odpowiedni mandat od Ligi. Liga miała—według tego planu—mieć do rozporządzenia stały międzynarodowy Sztab Główny, pod którego rozkazami pozostawałaby siła wojskowa, złożona z kontyngentów narodowych, wyznaczonych z góry i dostarczonych przez odnośne państwa. Przeciwnie angielski plan Phillimore wychodził z założenia, iż wyposażenie Ligi w wojsko uczyniłoby z niej jakieś państwo nadrzędne i uznawał to za pomysł wtedy jeszcze przedwczesny, możliwy do urzeczywistnienia na jakimś dalszym etapie rozwoju stosunków międzynarodowych.

Na dnie tej rozbieżności leżał zasadniczy konflikt pomiędzy dwoma poglądami: starym żądającym bezwzględnego poszanowania suwerenności państwowej i nowym, śmielszym, który powiada, że dla zapewnienia bezpieczeństwa konieczna jest ze strony państw ofiara w postaci ograniczenia suwerenności narodowej.

Pogląd anglosaski, a z nim stara doktryna nieograniczonej suwerenności państwowej, odniosła — jak wiadomo — zwycięstwo. Wyobrażano sobie, iż samo zobowiązanie wszystkich członków Ligi do uczestniczenia wszystkimi siłami zbrojnymi we wspólnej obronie napadniętego podziała dostatecznie odstraszająco na domniemanego napastnika. W wypadku agresji—nałożono na Radę Ligi "obowiązek zlecenia kilku zainteresowanym rządom, jaką ilością sił lądowych, morskich i powietrznych powinny one uczestniczyć w siłach, potrzebnych do ochrony Paktu Ligi." Przyjęto w ten sposób zasadę międzynarodowej współpracy wojskowej, ale nadano jej charakter współdziałania dorywczego, nie tylko o nieokreślonych uprzednio rozmiarach, ale improwizowanego dopiero w ostatniej chwili, gdy agresja miała stać się faktem dokonanym. Trudno o rozwiązanie w wyższym stopniu oszczędzające drażliwość narodową, a równocześnie . . . mniej niepokojące dla napastnika.

Mimo niepowodzenia, z jakim myśl o powołaniu do życia stałej międzynarodowej siły zbrojnej spotkała się na Konferencji Pokojowej, była ona przez pewien czas popierana i to głównie w francuskich kołach wojskowych. Na uwagę zasługuje projekt francuskiego generała Gérard, który został w r. 1923 przyjęty przez Międzynarodową Federację Towarzystw Ligi Narodów, nie doczekał się jednak wprowadzenia w życie. Proponował on stworzenie wielkiej międzynarodowej siły zbrojnej, obejmującej wojsko, marynarkę i lotnictwo, a pozostającej pod rozkazami głównodowodzącego, wyznaczanego drogą wyboru przez Radę Ligi. Marynarki narodowe miały ograniczać się do strzeżenia wybrzeży, lotnictwo zaś poszczególnych krajów mogło być tylko pocztowe i pasażerskie, rola wojska miała by być sprowadzona do zadań wewnętrznopolicyjnych.

CO MYŚLI OPINIA BRYTYJSKA O TEJ SPRAWIE

Myśl wyposażenia przyszłej organizacji międzynarodowej w stały element siły, zdolny w razie potrzeby przeforsować wykonanie jej postanowień a powstały ze zjednoczenia we wspólnym "poolu" narodowych sił zbrojnych, zaczyna wyraźnie kiełkować w opinii brytyjskiej. Przewija się ona w programach przyszłego ładu, układanych przez szereg instytucji, reprezentujących zorganizowane odłamy angielskiej opinii publicznej.

Tak na przykład "P.E.P." (*Political and Economic Planning*), organizacja stworzona pierwotnie dla przeprowadzania badań nad reformami różnych dziedzin brytyjskiego życia narodowego, a ostatnio poświęcająca się również i studiom tematów międzynarodowych i posiadająca dużą powagę w społeczeństwie angielskim, radzi, ażeby Sprzymierzeni i po wojnie pozostali uzbrojeni i wyłonili z siebie na stałe rodzaj europejskiej policji bezpieczeństwa. Miałaby się ona składać z kontyngentów brytyjskich i alianckich, pozostających pod kierunkiem W. Brytanii. Niemcy byliby z niej wykluczeni.

Wedle "P.E.P."-u, "polityka bezpieczeństwa Sprzymierzonych musi zapewnić im tak niezaprzeczalną przewagę wojskową nad Niemcami, aby wszelka nadzieja zmierzenia się z nimi przestała dla Niemców istnieć." W. Brytania powinna zastosować system "*lend-and-lease*" do pozostałych po wojnie zasobów uzbrojenia i stworzyć odpowiednio wyposażone bazy w najważniejszych punktach strategicznych dla użytku w razie groźby nowej napaści. Alianci powinni oddać swoje bazy morskie i lotnicze do dyspozycji W. Brytanii. Personel lądowy i powietrzny zjednoczonych sił zbrojnych powinien być europejski, sił morskich zaś—anglo-amerykański.

"*League of Nations Union*" (stowarzyszenie powstałe w r. 1918, którego prezesem jest lord Cecil, prezesem honorowym zaś premier Churchill, mające na celu ugruntować w społeczeństwie angielskim przekonania o ważnej roli Ligi Narodów jako strażnika prawa międzynarodowego i pokoju) wypowiada się za powierzeniem obrony bezpieczeństwa rejonu, jakim m.i. byłaby Europa, grupie państw, dobranych drogą wyboru w ten sposób, aby były one zdolne do wypełnienia tego zadania. Państwa te połączyłyby się w rodzaj konfederacji, utrzymując—jako minimum współpracy wojskowej—wspólny sztab główny i zobowiązując się przytem do użycia siły politycznej, gospodarczej i wojskowej dla poskromienia agresji w obrębie całego powierzonego ich pieczy rejonu.

"*British Commonwealth League*" oddawna już domaga się utworzenia międzynarodowego trybunału rozjemczego, którego organem wykonawczym byłaby międzynarodowa siła zbrojna.

W swoich "celach wojny," *Labour Party* żąda uznania jednej władzy światowej, która miałaby do rozporządzenia siłę międzynarodową, i mogłaby w ten sposób zapezpieczyć pokój.

MOŻLIWOŚCI ROZWIĄZANIA

W teorii istnieć mogą różne recepty na zorganizowanie międzynarodowej siły zbrojnej. U podstaw każdego systemu leży zawsze mniejsze lub większe zrzeczenie się ze stanów liczebnych narodowej siły zbrojnej na rzecz wspólnego "poolu," międzynarodowego a tym samym zgoda na pewne ustępstwa ze swej suwerenności na rzecz tej zbiorowej organizacji wojskowej.

Wszystkie, teoretycznie możliwe systemy dadzą się pomieścić pomiędzy dwoma projektami krańcowymi, zasadniczo ze sobą sprzecznymi. Jeden z najlepszych znawców tego przedmiotu, lord Davies określa je w następujący sposób.

System ograniczałby jak najbardziej wkraczanie czynnika międzynarodowego w dziedzinę życia narodowego i pozwoliłby uniknąć drastyczniejszych zmian w organizacji obrony narodowej. Polegałby on na wspólnym sztabie głównym, którego zadaniem byłoby uzgadnianie ruchów i sposobu użycia wojsk narodowych. W czasie pokoju pozostawałyby one pod bezpośrednią kontrolą swych własnych rządów i byłyby przez nie utrzymywane. Dopiero w razie mobilizacji przechodziłyby automatycznie pod komendę międzynarodowego sztabu głównego. Ich siła jednak i ekwipunek musiałyby być całkowicie zależne od potrzeb władzy międzynarodowej, nie zaś od wymogów samoobrony narodowej, określanych wedle uznania rządów narodowych.

Biegunowo przeciwny byłby system polegający na zupełnym zniesieniu narodowych sił zbrojnych i na ustanowieniu jednolitego wojska, marynarki wojennej i lotnictwa pod rozkazami władzy międzynarodowej. Było by to zupełnym zjednoczeniem we wspólnym "poolu" wszystkich narodowych sił zbrojnych i zapewnieniem władzy międzynarodowej całkowitego monopolu w tej dziedzinie. System ten pociągałby za sobą powszechne rozbrojenie i zaprzestanie wyścigu zbrojeń, a zarazem dawałby międzynarodowej sile zbrojnej znaczną sprawność działania. Działo by się to jednak kosztem nadmiernego wkraczania czynnika międzynarodowego w sferę autonomii narodowej i ogromnego uszczuplenia suwerenności państwowej. Poza tym byłby to system niesłychanie kosztowny, gdyż mobilizowałby w każdym kraju miliony ludzi.

Między tymi dwoma typami międzynarodowej siły zbrojnej istnieć może—rzecz prosta nieskończona ilość odmian pośrednich, w których wymogi sprawności i skuteczności wojskowej dałyby się pogodzić ze stosunkowo niezbyt uciążliwymi dla państw ustępstwami z ich suwerenności. Do pomyślenia n.p. jest istnienie międzynarodowej siły zbrojnej, złożonej wyłącznie z lotnictwa, lub też marynarki wojennej, powołanej do patrolowania mórz, a składającej się tylko z okrętów podwodnych i z wodnopłatowców.

Do tego rodzaju systemów pośrednich można by zaliczyć również typ, polegający na wydzieleniu z narodowych sił zbrojnych tylko pewnych kontyngentów dla wcielenia ich do korpusu międzynarodowego.

rys. Tadeusz Lipski



ZASADY PODSTAWOWE

Bez względu jednak na typ organizacyjny, na jaki paść może w przyszłości wybór Sprzymierzonych — o ile oczywiście postanowią oni oprzeć powojenną budowę pokoju o stały element siły—już obecnie jest możliwe wysnuć pewne zasady, bez których nie może być mowy o organizacji międzynarodowej siły zbrojnej.

Jedną z podstawowych zasad jest, iż powstanie takiej siły nie może odbijać się ujemnie na zdolności rządów utrzymania porządku wewnętrznego w granicach swych terytoriów. Oznacza to, iż policja każdego państwa musi być dostatecznie silna dla wykonania swego obowiązku i że międzynarodowa siła zbrojna nie może pod żadnym warunkiem być wzywana do interweniowania w wewnętrzne sprawy jakiegoś kraju.

Jednolite dowództwo, pozostające pod wyłączną kontrolą i kierownictwem władzy międzynarodowej, jakoteż wyrobienie zarówno u oficerów jak i u podoficerów i szeregowców siły międzynarodowej—prawdziwego ducha międzynarodowego—oto dalsze zasady organizacyjne.

Głównym warunkiem rozstrzygającym o skuteczności działania tej siły zbrojnej jest konieczność zapewnienia jej bezwzględnego monopolu. Może to być osiągnięte przede wszystkim przez całkowite i trwałe rozbrojenie mocarstw osi, następnie zaś przez uzależnienie wysokości każdoczesnych stanów liczebnych narodowych sił zbrojnych od uznania władzy międzynarodowej, w końcu zaś przez przeprowadzenie zasady, iż zarówno wytwórczość jak i używanie broni nowoczesnej, szczególnie niebezpiecznej lub niszczycielskiej, zastrzeżone być musi wyłącznie dla międzynarodowej siły zbrojnej.

Dotyczy to zarówno broni już istniejącej jak i tej, która w przyszłości może być wynaleziona, zarówno materiału wojennego ofensywnego jak i defensywnego. Wyłączanie środków o charakterze nawet wybitnie defensywnym byłoby fatalną w skutkach pomyłką. Jakkolwiek n.p. linia Siegfrieda jest niewątpliwie narzędziem defensywy, to jednak jej istnienie na Zachodzie potęguje niesłychanie potencjał ofensywny Niemców na Wschodzie, zabezpieczając im tyły. Wszelkie zatem forty i pasy forteczne, koleje strategiczne itp., które nie zostaną przejęte przez międzynarodową siłę zbrojną dla celów zabezpieczenia pokoju, muszą być zburzone. Również pozostawienie Niemcom artylerii przeciwlotniczej utrudniłoby następnie działanie lotnictwa międzynarodowego przeciwko nim, naruszając tym samym zasadę monopolu siły i bezwzględnej przewagi międzynarodowej siły zbrojnej.

OSTATNIA SPOSOBNOŚĆ

Zastosowanie wiedzy technicznej do sztuki wojennej i gwałtowny wzrost siły niszczycielskiej narzędzi walki powodują, iż w miarę postępu czasu co raz to trudniej będzie pokonać i ubezwładnić tego, kto—siłą czy podstępem—potrafi je zagarnąć dla swego użytku. Już niemal w trakcie ostatnich lat kilkunastu stosunek siły do tego stopnia zmienił się na korzyść czynnika w pełni rozporządzającego bronią nowoczesną jak bombowce, czołgi, karabiny maszynowe itp. Wiele zdaje się przemawiać za tym, iż obecnie toczący się bój jest bodajże ostatnią sposobnością, daną narodom demokratycznym, aby unicestwić niemiecki plan podboju świata. Gdyby ta okazja miała być zmarnowana, gdyby dopuszczono do ponownego zbrojenia się Niemców w jakiś czas po odniesionym nad nimi zwycięstwie, istnieje niestety wiele szans, iż—staliby się oni tym razem przeciwnikiem nie do pokonania.

TADEUSZ NIEDUSZYŃSKI

Gibraltar Australii—Port Darwin

Na mapach o bardzo wielkiej podziałce ląd Australii nie jest zbyt wielki. Prasa i film udostępniły Europie obraz życia tego kontynentu, a raczej tego, co przez uproszczenie ogólnie przyjmuje się za kontynent, t.zn. stosunkowo ludnych i uprzemysłowionych wybrzeży południowej Australii—prowincje Victorii, Nowej Południowej Walii i południowozachodnich wybrzeży Queenslandu dookoła Brisbane i Rockhampton. Prócz tego z map o wielkiej podziałce wynika, iż na południowo-zachodnim krańcu Australii istnieje zagęszczenie ludzkich osiedli dookoła Perth i Freemantle.

Poza tym wiadomo jest ogólnie, iż Australia jest pustynnym wydmuchem.

Wojna na Pacyfiku i zapoznanie się z mapami o mniejszej podziałce w znacznym stopniu skorygowało te nieporozumienia. Upadek Singapore i Jawy zbliżył geografię południowego lądu i warunki klimatyczne terytorium australijskiego do tematów codziennych rozmów. Nazwa Port Darwin, leżącego wśród podzwrotnikowych lasów, pojawiła się w komunikatach wojennych.

W r.1936 komandor ppor. japońskiej marynarki Iszimaru w książce *"Japan must fight Britain"* napisał, iż na Oceanie Spokojnym — w południowo zachodniej jego części—najdogodniejszą bazą dla marynarki brytyjskiej i amerykańskiej byłoby oczywiście Sydney. Jest to jednakże niepraktyczne ze względu na znaczną odległość od ewentualnego teatru operacyj i wobec tego następnym z kolei punktem oparcia Anglosasów w Australii będzie Port Darwin, położony na północnym wybrzeżu prowincji Północnego Terytorium /Northern Territory/ nad Cieśniną Clarence na morzu Timor, bronioną od strony morza wyspami Bathurst, Melville i półwyspem Coburg.

Punkt ten tym bardziej nadaje się zdaniem japońskiego marynarza do operacyj wojennych, iż jest położony o 1290 mil zaledwie od głównej bazy holenderskiej na Archipelagu Sundajskim—Sourabaya i o nie całych 2000 mil od Singapore i Manili,—bliżej zresztą jest z Port Darwin do tych miejscowości aniżeli do Sydney czy Melbourne. Pomiędzy krańcami kontynentu Australii leży 2000 mil piszczystej, niezbadanej, bezwodnej pustyni.

Kiedy Iszimaru pisał swoją książkę, Port Darwin był mało czym więcej, aniżeli małym portem, zamieszkałym przez bardzo mieszaną ludność chińsko-malajsko-grecko-japońsko-portugalską, żyjącą nędznie przy pomocy stu i jeden mniej lub więcej legalnych zajęć chałupnictwa oceanu. Byli tam i poławiacze pereł i handlarze kopry i rybacy i bliżej nieokreśleni przemytnicy z niewielką przymieszką australijskich urzędników z południa i znacznie większą tybulców — negroidów Australii. Tu trzeba dodać, że w tropikalnych dżunglach północnych wybrzeży australijskich tubylcy nie są ani skarłowaciali ani zdegenerowani jak na piaskach bardzo niedokładnie zbadanych pustyń środka kontynentu. Wprost przeciwnie. W okolicy Port Darwin są oni atletycznej budowy i są całkiem rozgarnięci.

Poza tym Port Darwin był zakończeniem północnej odnogi szlaku komunikacyjnego, który łączy południowe wybrzeże Australii z północnym. Historia szlaku jest bardzo stara. W r.1886 rozpoczęto budowę kolei transkontynentalnej w Australii. W roku 1929 odnoga południowa z Adelaide, Melbourne i Sydney dochodziła do Alice Springs, małej miejscowości, położonej w górach Macdonnell Range, mniej więcej w środku kontynentu, a odnoga północna z Port Darwin do Birdum. Pomiędzy tymi dwoma punktami pozostała przestrzeń 650 mil bezdroża przez okolice, gdzie roczne opady, najczęściej jednorazowe, nie przekraczają 10 cali! Na tym stanęło.

Nawet wielka mapa Australii o podziałce 1:10.000.000 zaznacza na odcinku Alice Springs—Birdum takie miejscowości, jak Barrow's Creek, miejsce "gorączki wolframowej" — dokąd przed paru laty na wiadomość o znalezieniu złoży cennej rudy ciągnęły i marły po drodze z pragnienia tłumy australijskich włóczęgów, t.zw. Walzing Matildas, Tea-tree Well, geograficzny ośrodek kontynentu, czy Tennats Creek, opuszczoną kopalnię złota. Wszystko to są małe skupiska domów i bud, zamieszkałe przez kilkudziesięciu czy kilkunastu znudzonych ludzi, którzy z takich lub innych powodów muszą tam siedzieć.

W r. 1938 Port Darwin spał snem sprawiedliwego, a garnizon jego liczył 120 oficerów i żołnierzy. Na wodach okolicznych kręciły się liczne japońskie łodzie rybackie. Po Monachium garnizon darwiński został zasilony o dalszych 233 oficerów i żołnierzy.

W chwili wybuchu wojny w 1939 roku, istniały już plany utworzenia z Port Darwin silnej bazy lądowo-lotniczo-morskiej, ale istniały one tylko na papierze. Japończycy mogliby wówczas zagarnąć go z zupełną łatwością. Przede wszystkim dzięki niemal całkowitemu odcięciu od zaplecza. Nawet dla samolotów przestrzenie australijskiego lądu są poważnym zagadnieniem.

Potrzeba okazała się nie tylko matką wynalazków, ale źródłem natchnień i nieoczekiwanej energii. W ciągu roku 1940 ostatni etap szlaku transkontynentalnego w Australii został połączony autostradą. Port Darwin w szybkim tempie zamienił się w fortecę, rozplanowaną w głąb otaczających błot i dżungli, z uwzględnieniem ataków z powietrza. Został stworzony specjalny korpus zaopatrzenia twierdzy/Darwin Overland Maintenance Force/, utrzymujący stałą łączność z arsenałami w Alice Springs.

W końcu roku 1940 przybyła do Port Darwin amerykańska misja wojenno-morska, z początku tajna, a potem jawna. Jak wiadomo z komunikatów prasowych—przygotowania te bynajmniej nie były przedwczesne. Pierwsze bomby japońskie na lądzie australijskim spadły właśnie na Port Darwin i tam poległy pierwsze ofiary z pośród ludności cywilnej Australii.

W potrzebie, a szczególnie wobec zagrożenia narodowego Australia wykazała niezwykłą przedsiębiorczość. W chwili obecnej 40% mężczyzn w wieku od lat 19 do 39 znajduje się w mundurach. Wydatki na wojnę przekroczyły w chwili obecnej sumę wydatków w latach 1914—1919. Przemysł wojenny, nieistniejący w r. 1939, umożliwił w r. 1942 stworzenie pełnej dywizji pancernej. Na stoczniach australijskich jeszcze w r. 1940 znajdowało się 48 kanonierek i 3 kontrtorpedowce.

7-milionowy naród australijski nie uląkł się znacznie większego wroga. Nie należy też zapominać o wspaniałych wyczynach armii australijskiej w Afryce i Syrii, o lotnikach z R.A.A.F. (*Royal Australian Air Force*) z czasów *Battle of Britain* i *Battle of Europe*. Marynarze australijscy bili się wedle tradycji i wymagań pierwszej marynarki świata na Morzu Śródziemnym, na Oceanie Indyjskim i w bitwie o Jawę, tracąc dwa piękne krążowniki i szereg mniejszych jednostek.

Anglosasi w przeciwieństwie do niektórych narodów Europy Wschodniej najwięcej uczą się w okresach przeciwieństw, stąd też obecne niebezpieczeństwa, przy całym tragiźmie ich i unieszczęśliwieniu wielu istnień ludzkich wyjdą Australii jako całości niewątpliwie na dobre, nawet jeżeli ograniczą się do złamania nierozumnych i samolubnych barier izolacjonizmu.

Nie należy zapominać, iż Imperium Brytyjskie w dzisiejszej formie mocarstwa światowego narodziło się ze straszliwych klęsk Wielkiej Brytanii w drugiej połowie XVIII-go wieku, kiedy utraciła ona prawie wszystkie swoje posiadłości w Ameryce Północnej i o mały włos nie utraciła Indii.

CZESŁAW JEŚMAN

Po śmierci Mieczysława Mastka

Dn. 9 bm. zmarł w Szpitalu Polskim w Edynburgu Mieczysław Mastek, wybitny działacz polityczny, więzień brzeski, skazaniec sowieckiego obozu pracy, członek drugiej Rady Narodowej. Wzruszającym momentem pogrzebu, który odbył się w Londynie było odznaczenie ś.p. Mastka Krzyżem Walecznych, którego dokonał osobiście Naczelny Wódz. Ten akt uznania dla moralnej siły, dla cywilnej odwagi, dla niezłomności przekonań, dla życia wypełnionego trudem, cierpieniem i walką włączył ś.p. Mastka w naszą żołnierską jedność.

Należał On do niej już przedtem. W obozach wojska w Szkocji, wśród lotników i marynarzy żywa jest pamięć osobistego zetknięcia ze zmarłym działaczem po Jego powrocie z Z.S.R.R. Żywa jest pamięć tego Człowieka, co tyle cierpiał, co już tak bliski był grobu, a tak twardo patrzył prawdzie w oczy i tak twardo tę prawdę w oczy mówił, tak był niezachwiany w postawie moralnej, tak nieosłabiony w woli działania, w woli pracy dla wspólnej sprawy.

Niedługo przed odjazdem do szpitala, z którego niedane mu już było wrócić żywym, ś.p. Mastek przekazał redakcji 'Polski Walczącej" obszerną korespondencję, jaką otrzymał od żołnierzy w związku z tymi odczytami. Otrzymaliśmy też list pisany przez ś.p. Mastka tuż przed śmiercią, określający jego stosunek do niektórych zjawisk rzeczywistości emigracyjnej. W najbliższym numerze naszego tygodnika ogłosimy te materiały.

Szkic sytuacyjny

KERCZ I CHARKÓW

Jedno z pism angielskich omawiając wydarzenia na froncie wschodnim, powiedziało trafnie, że chwilowo "błąkamy się jeszcze w mgle komunikatów." Istotnie, przez mgłę doniesień jednej i drugiej kwatery głównej nie zawsze można odczytać bieg wypadków. A jednak po dwu tygodniach walk na Kerczu oraz wokoło Charkowa *zaczynają się zarysowywać główne linie i wnioski*.

Komunikat sowiecki przyznaje się do opuszczenia półwyspu kerczańskiego. Walki musiały tam być bardzo zajadłe. W jakiej mierze Niemcy uzyskali sukces swój dzięki użyciu "nowej broni," trudno nam to ocenić. Neutralne doniesienia mówiły, że ta nowa tajemnicza broń, to pociski, które wybuchając wytwarzają temperaturę do 3000 st. C. Pociski te topią pancerz czołgów. Ponadto Niemcy mieli używać rownież pocisków wywołujących taką częstotliwość drgień, że organizm ludzki nie znosi ich i reaguje paraliżem albo zupełnym porażeniem ośrodków nerwowych.

Nie wiemy jeszcze czy istotnie ta "nowa broń," weszła do walki, czy są to tylko *zabiegi propagandy niemieckiej*. Jeżeli nawet Niemcy użyli tej "nowej broni," to wszystko wskazuje na to, że użyli jej na *małą skalę*. Poza tym: wysiłek lotniczy jakiego dokonali na Kerczu, gdzie rzucili masy bombowców nurkujących oraz myśliwców, był tak wielki, że nie *starczyło już maszyn na obstawienie frontu charkowskiego*.

Timoszenko zorientował się szybko o co chodzi i uderzył ku Charkowowi. Marsz jego, w którym—jak chcą sami Niemcy—bierze udział 300.000 wojska i jakichś 1,500 czołgów, stał się tak groźny dla stanowisk niemieckich, że von Bock uderzyć musiał z boku koło Barwenkowa. Walki w tym okręgu trwają. Wojska sowieckie okopały się na przedpolu Charkowa i zapewne ściągają posiłki oraz *przegrupowują się przed podjęciem dalszego działania*. Przeciwnatarcie niemieckie zostały na razie powstrzymane.

Uderzenie niemieckie na Rostów, które dowodziłoby, że akcja na Kaukazie jest dalej głównym celem niemieckim i że parcie na to miasto zostanie podjęte *przed* uderzeniem od strony półwyspu Kercz przez cieśninę morską—narazie nie jest wyjaśnione.

KŁOPOTY NIEMIECKIEJ KWATERY GŁÓWNEJ

Doniesienia neutralne mówią, że Hitler znajduje się w kwaterze głównej na froncie wschodnim i że zwołał naradę wszystkich generałów dowodzących na tym froncie. Narady jakie miał przeprowadzić w Berlinie z czołowymi przedstawicielami przemysłu niemieckiego zostały odwołane.

Wydaje się, że *sztab niemiecki chciał rozpocząć uderzenie na Wschodzie znacznie później*, aniżeli się ono zaczęło, a więc dopiero *w pierwszej połowie czerwca*. Ataki rosyjskie *zmusiły sztab niemiecki do wcześniejszej akcji, która nie była przygotowana*. Obecnie pojawia się konieczność przeredagowania całego planu, albowiem parcie Timoszenki na Charków staje się poważne, podobnie jak sprawa *rozdziału sił lotniczych* na odpowiednie odcinki frontu.

Braki lotnictwa niemieckiego wyszły na jaw właśnie pod Charkowem, gdzie Rosjanie uzyskali lokalną przewagę lotniczą. *"Kołdra" lotnicza okazuje się już za krótka dla Niemiec*—gdy ją naciągnąć mocniej w jednym punkcie, to robi się kuso gdzie indziej. Sprawa lotnictwa jest zatem dla Rzeszy nader ważna. Pomimo odejścia licznych eskadr Luftwaffe *z Sycylii*—Malta bombardowana jest głównie przez lotnictwo włoskie—*nie załatano* wszystkich dziur na Wschodzie.

Niemiecki sztab ma kłopoty z transportem. Doniesienie "Timesa" w sprawie krytycznych ocen marszałka von Bocka zasługuje na pilną uwagę. Von Bock miał powiedzieć w czasie narad salzburskich, że części składowe działań w Rosji są niebywale złożone i że *atak na wszystkich odcinkach frontu jest niemożliwy*. Zagadnienie komunikacji i transportu jest dalej naczelną troską sztabu niemieckiego.

MOWY NIEMIECKIE

Mowa Goeringa, która podana była przez prasę niemiecką w mocno skróconej formie—Goering wygłosił ją na uroczystości dekoracji robotników niemieckich krzyżami zasługi—była nastrojona na ton zdecydowanie ponury. Goering raz jeszcze przypomniał narodowi niemieckiemu, że zima w Rosji była nielada piekłem, że armia przeszła straszne opresje, że wszystko było nie tak znowu dalekie od załamania się. Przyznał, że pogoda nie dopisała i że "żywioły nam nie sprzyjają."

Niebawem po tej mowie, która ukryta została przed niemieckim narodem jak się dało, przyszła mowa dra Leya w ośrodkach Nadrenii, które ucierpiały mocno od bomb RAF'u. Dr. Ley zaklinał załogi robotnicze, ażeby pracowały, ażeby dostarczały broni i amunicji wojsku. Nie możemy dopuścić — krzyczał — ażeby powtórzył się r. 1918.

Widmo tego roku prześladuje najwidoczniej kierowników Trzeciej Rzeszy. Przemówienia i artykuły prasy wspominają ciągle o przyczynach przegranej Rzeszy w wojnie ostatniej, wołają, że trzeba postawić więcej szubienic, a rozwiąże się całą sprawę, żądają kar na opieszałych.

Moral niemiecki najwyraźniej się rozprzęga. Ale od tego daleko jeszcze do załamania.

MOWY AMERYKAŃSKIE

Wiceprezydent Stanów Zjed. *Henry Wallace* wygłosił mowę pełną głębokich myśli i ujęć. Zaznaczył on, że kłamstwem jest jakoby naród amerykański stracił swoją energię. Tak, naród ten nienawidzi wojny, ale właśnie dlatego, że *Hitler i Rzesza są symbolem i ucieleśnieniem wojny, Stany będą prowadzić tę wojnę z niebywałym zapałem aż do zniszczenia tego "gniazda dżumy," jakiem jest Rzesza.*

Roosevelt ostrzegł swoje społeczeństwo przed nadmiernym optymizmem co do czasu trwania wojny. Powiedział, że będzie to *"diablo długa wojna."* Cordell Hull, minister spraw zagr. USA powiedział to samo: niechaj nikt nie sądzi, ażeby ta wojna była krótka i łatwa. Przeciwnie, będzie ona trudna, *czeka nas wiele jeszcze trudów, wiele ofiar*. Im większe złożymy ofiary, im więcej napniemy nasze nerwy i nasze muskuły teraz, zaraz, tym krótszy będzie jej przebieg.

PRZEWAGA LOTNICZA W TYM ROKU

Minister lotnictwa W. Brytanii Sir Archibald Sinclair w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi "Sunday Expressu" powiedział, że *w lecie b.r. państwa sojusznicze uzyskają przewagę w powietrzu*. Jest to ocena trafna—tak musiało być i nie mogło się to stać wcześniej (można to było przewidzieć jesienią 1940 roku, co też czynili niektórzy obserwatorzy, narażając się na zarzut nadmiernego pesymizmu).

Ofensywa lotnicza na Rzeszę będzie napewno prowadzona dalej. Uderzenie na Mannheim było ostatnim wielkim nalotem na Niemcy. Miejmy nadzieję, że na wstępie czerwca zobaczymy *nowy odcinek ataków RAF'u.*

SPRAWA ŻEGLUGI

Straty w tonnażu są dalej poważne. Toną okręty na wszystkich morzach. Szlak do Rosji niepokojony jest poważnie, niemieckie okręty podwodne grasują wokoło Florydy, gdzie topią tankowce meksykańskie, znajdują się na wodach rzeki św. Wawrzyńca w Kanadzie. Należy oczekiwać dużego *nasilenia* akcji niemieckich okrętów podwodnych w czerwcu i lipcu b.r. Dlatego też lotnictwo brytyjskie dobierało się tak zajadle do niemieckich ośrodków budowy tych okrętów. Dla Anglii sprawa *"shippingu"* jest dalej centralnym zagadnieniem wojny.

Straty w żegludze są poważne, ale *USA buduje już na niebywałą skalę*. Sądzi się, że w jesieni b.r. liczba nowych jednostek budowanych w stoczniach amerykańskich prześcignie ilość jednostek posyłanych na dno. Chodzi właśnie o to, ażeby *dwie krzywe przecięły się*.

O tych dwóch krzywych opowiadał niedawno prasie amerykańskiej admirał Stark, który dowodzi siłami morskimi USA na wodach europejskich. Przypomniał on, że już w czasie wojny ostatniej na ścianie jednej z sal ministerstwa marynarki Stanów Zjd. wisiał wykres, który pokazywał krzywą zatapiań tonnażu oraz krzywą nowo budowanych statków i okrętów. Gdy ta druga krzywa przecięła pierwszą, znawcy amerykańscy powiedzieli sobie, że *wojna jest wygrana*.

Przecięcie się tych dwóch krzywych nastąpić winno *późną jesienią b.r. a może dopiero na wiosnę* 1943. Wolno przewidywać, że wówczas znawcy amerykańscy wymienią między sobą te same porozumiewawcze uśmiechy, co na wiosnę r. 1918.

Londyn, dnia 24 maja 1942

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Na tyłach armii niemieckiej

Od czasu wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, zarówno w komunikatach wojennych, jak i relacjach korespondentów, znajdujemy dużo wiadomości o walkach partyzanckich, rozgrywających się na tyłach armii niemieckiej. Z natury rzeczy docierające do nas wiadomości mają charakter ogólnikowy i przeważnie ograniczają się do stwierdzenia takich lub innych wydarzeń.

Temat walk partyzanckich jest niezmiernie ciekawy. Szczególnie jednak jest on interesujący dla nas Polaków, którzy tak dobrze znamy opisy walk podjazdowych i zagonów na tyły nieprzyjaciela często i z dobrym wynikiem stosowanych w wojnach prowadzonych przez Rzeczpospolitą oraz partyzantkę tak charakterystyczną dla walk Powstania Styczniowego i rewolucji 1905 r.

Niejednokrotnie czytając lub słuchając wiadomości o walkach partyzanckich na froncie wschodnim zadajemy sobie pytanie, jakie metody stosują partyzanci dzisiejszej wojny wobec wroga wyposażonego w nowoczesny sprzęt techniczny, jakimi drogami otrzymują oni zaopatrzenie w potrzebne im środki walki, czy i jaki utrzymują oni kontakt z własnym wojskiem regularnym oraz co najważniejsze jaki wpływ wywierają działania partyzantów na postawę moralną nieprzyjaciela i jego zdolność prowadzenia walki.

Odpowiedzi na te pytania udziela nam w pewnej mierze broszura p.t. "*We Are Guerillas*"* wydana w Londynie. Broszura ta dość wszechstronnie naświetla sposób powstawania, organizację i sposoby działania oddziałów partyzanckich oraz przytacza szereg charakterystycznych i ciekawych przykładów prowadzonych przez nią walk. Niewątpliwie broszura ta ma na widoku przede wszystkim cele propagandowe na terenie Wielkiej Brytanii i pod tym kątem została napisana. Pomijając jednak zawarty w niej materiał propagandowy, pozostała jej treść daje ciekawą charakterystykę partyzantki działającej na tyłach armii niemieckiej.

JAK POWSTAJĄ ODDZIAŁY PARTYZANCKIE

Wydaje się, że powstawanie, organizacja i skład oddziałów partyzanckich są raczej przypadkowe, niż z góry przygotowane i przewidziane. Oddziały te tworzone są bądź to z ludności cywilnej niewyewakuowanej z terenów zagrożonych, bądź też z żołnierzy wojska regularnego, którzy wskutek działań wojennych znaleźli się na tyłach nieprzyjaciela i nie mogą powrócić do swych jednostek. Dobór ludzi w oddziałach partyzanckich jest zatem bardzo przypadkowy. W skład ich wchodzą obywatele Związku Sowieckiego wszystkich klas społecznych zarówno z miast jak i ze wsi.

Dowódcą oddziału partyzanckiego jest człowiek posiadający mniejsze lub większe przygotowanie i doświadczenie wojskowe i cieszący się pełnym zaufaniem swych podwładnych. Niejednokrotnie w skład oddziałów partyzanckich wchodzą kobiety, których zadaniem jest przeprowadzanie wywiadu i rozpoznania sił nieprzyjacielskich, zaopatrywanie oddziału w strawę i odzież oraz opieka nad rannymi i chorymi.

Oddziały partyzanckie tworzone z żołnierzy armii regularnej niejednokrotnie zachowują organizację podobną do organizacji oddziałów wojska i znajdują się pod dowództwem oficerów lub podoficerów.

Wielkość oddziału partyzanckiego jest również przypadkowa i waha się od kilku do kilkudziesięciu a czasem kilkuset ludzi. W pewnych wypadkach mniejsze oddziały współpracują ze sobą dla wykonania określonego działania.

Dyscyplina o charakterze wojskowym jest podstawowym czynnikiem zapewniającym powodzenie podejmowanym operacjom. Żołnierze oddziałów partyzanckich składają przysięgę na ręce swego dowódcy. Rota tej przysięgi jest różna w różnych oddziałach. Przytoczony w broszurze jeden z tekstów dość długiej zresztą roty przysięgi, zawiera między innymi przyrzeczenie niepoddawania się nieprzyjacielowi i prowadzenia walki aż do śmierci oraz żądanie kary śmierci z rąk współtowarzyszy w razie złamania przysięgi lub okazania słabości w walce.

Schronieniem oddziałów partyzanckich są lasy, w których głębi odbywa się szkolenie i przygotowywanie planów przyszłych wypadów na nieprzyjaciela. W niektórych okolicach lasy te są tak niedostępne, że oddziały partyzanckie zmuszone są korzystać z pomocy specjalnych przewodników rekrutujących się z pośród ludności zamieszkałej w ich pobliżu. Przebywając w lasach oddziały partyzanckie nie zrywają kontaktu z osiedlami, które są dla nich źródłem zarówno wiadomości o ruchach, sile i zamierzeniach oddziałów nieprzyjaciela, jako też bazami zaopatrzenia oddziału w żywność i odzież. Łączność między oddziałem a ludnością miast lub wsi utrzymywana jest za pośrednictwem specjalnych wywiadowców wysyłanych z oddziału, lub ludzi współpracujących z partyzantami a przebywających stale w osiedlach.

Oddziały partyzanckie spotykają się z przychylnym nastawieniem ludności, która chętnie udziela im pomocy. Poniżej przytaczam wyjątek ze sprawozdania korespondenta "Prawdy," który drogą radiową otrzymał następującą relację od jednego z dowódców oddziału partyzanckiego:

"Ludność naszego rejonu jest bardzo dobra i pomaga nam jak może. Szereg kolektywów postanowiło na swych zebraniach zapewnić ciepłą odzież dla oddziałów partyzanckich. Przygotowują oni dla nas ciepłą odzież zimową, robią skarpetki i rękawice oraz regularnie zaopatrują nas w żywność."

WYPOSAŻENIE W BROŃ

Zaopatrywanie partyzantów w broń, amunicję i inne potrzebne im środki do walki, odbywa się wszelkimi możliwymi sposobami. Najczęściej jednak partyzanci uzbrajają się sami w broń zdobytą na nieprzyjacielu. Rzadziej otrzymują ją od wycofujących się własnych oddziałów armii regularnej lub w wypadkach wyjątkowych, broń i amunicja dostarczane są oddziałom partyzanckim drogą powietrzną ze źródeł zaopatrywania wojsk sowieckich. Na ogół jednak uzbrojenie niemieckie jest bardziej cenione przez oddziały partyzanckie, gdyż amunicję jest im łatwiej zdobyć na Niemcach, niż zapewnić sobie jej regularny dopływ ze źródeł rosyjskich.

A oto kilka krótkich przykładów uzbrajania się oddziałów partyzanckich. Pewien organizujący się oddział wyposażony był jedynie w kilka karabinów dostarczonych przez cofające się oddziały wojska. Właściwą broń oddziału stanowiły siekiery. Wywiadowcy wysłani przez dowódcę donieśli, że w pewnej pobliskiej wsi zakwaterowała się zmotoryzowana kolumna niemiecka oczekująca na dowóz paliwa. O zmroku, gdy żołnierze niemieccy rozlokowali się na kwaterach, oddział partyzantów zbliżył się do wsi i po usunięciu posterunków wartowniczych wdarł się do niej z dwóch przeciwnych stron. Całkowicie zaskoczeni Niemcy zdołali otworzyć ogień jedynie z trzech czołgów, które jednak wkrótce zostały zniszczone granatami ręcznymi zdobytymi poprzednio na zabitych wartownikach. Opanowanie czołgów przez partyzantów pozwoliło na unieszkodliwienie reszty oddziału niemieckiego, który stracił w tej walce 40 ludzi zabitych. Jego broń i amunicja wyposażyła oddział partyzantów.

Jeden z oddziałów składający się z kilkuset ludzi podzielonych na trzy pododdziały, drogą szeregu działań wyposażył wszystkich swych ludzi w automatyczne karabiny i granaty ręczne. Wiele oddziałów partyzanckich posiada w swym rozporządzeniu rowery i motocykle a dość często samochody pancerne i lekkie czołgi, zdobyte na nieprzyjacielu.

ZADANIA ODDZIAŁÓW PARTYZANCKICH

Głównym zadaniem oddziałów partyzanckich jest dezorganizowanie tyłów armii nieprzyjacielskiej i osłabienie w ten sposób jej zdolności bojowej. Zadania te wykonywane są przy pomocy całego szeregu działań, których celem jest:

a/ niszczenie dróg komunikacyjnych i środków zaopatrzenia dowożonych na front,

b/ niszczenie połączeń telefonicznych i telegraficznych między poszczególnymi dowództwami, aby w ten sposób utrudnić rozkazodawstwo,

c/ niszczenie lotnisk rozrzuconych poza linią frontu,

d/ pozbawianie oddziałów przez niszczenie dowództw i ich kwater organów dowodzenia,

e/ napadanie na pojedyńczych żołnierzy lub małe grupy zdążające ku frontowi lub przechodzące do rezerwy na wypoczynek, działanie w ten sposób na siłę moralną żołnierza i podrywanie poczucia bezpieczeństwa na tyłach,

f/ zdobywanie wiadomości o ruchach, sile oddziałów nieprzyjacielskich i ich zamierzeniach oraz informowanie o tym wojsk własnych,

g/ współpraca z jednostkami wojsk własnych i przeprowadzanie wspólnych operacji.

NISZCZENIE DRÓG KOMUNIKACYJNYCH I ŚRODKÓW ZAOPATRZENIA

Tego rodzaju akcja polega na niszczeniu dróg i mostów, wykolejaniu pociągów, podpalaniu lub wysadzaniu w powietrze składów i magazynów oraz niszczeniu transportów kołowych na drogach.

Działania takie przyczyniają się nie tylko do powstawania pewnych braków i nieregularności w zaopatrzeniu frontu, lecz ponadto zmuszają dowództwo niemieckie do wzmacniania konwojów i wystawiania dodatkowych posterunków, odciągając znaczne ilości wojska z frontu, na rzecz bezpieczeństwa tyłów.

Wśród wielu przykładów tego rodzaju akcji, broszura przytacza działanie jednego z polskich oddziałów partyzanckich. W okolicy Warszawy spowodował on zderzenie dwóch pociągów, z których jeden był transportem wojska, drugi zaś transportem zaopatrzenia. Podobny wypadek spowodowany również przez partyzantów polskich miał miejsce w okolicy Dębicy, gdzie katastrofa kolejowa spowodowała śmierć około 200 żołnierzy niemieckich i zniszczenie dużej ilości środków zaopatrzenia.

Jeden z rosyjskich oddziałów partyzanckich przygotował dobrze przemyślaną i uwieńczoną powodzeniem zasadzkę na transport zaopatrzenia zdążający w kierunku frontu. Na drodze tego transportu wysadzono w powietrze most, a partyzanci ukryli się w przydrożnych lasach. Gdy transport osiągnął przeszkodę, a żołnierze przystąpili do budowy mostu pontonowe~o, ukryci partyzanci otworzyli niespodziany ogień karabinów maszynowych powodując popłoch i rozsypkę żołnierzy niemieckich. Akcja ta doprowadziła do zniszczenia całego transportu. Zbędna dla partyzantów amunicja została wysadzona w powietrze, inne zaś materiały oraz pojazdy podpalono lub zniszczono.

NISZCZENIE SIECI TELEFONICZNEJ I TELEGRAFICZNEJ

Tego rodzaju akcja raczej o charakterze sabotażowym niż działań partyzanckich jest dobrze znana, a prowadzenie jej nie nastręcza większych trudności. Wpływ jednak tej akcji na operacje wojenne jest bardzo znaczny. Przerwanie bowiem połączeń drutowych utrudnia wydawanie doraźnych rozkazów i otrzymywanie meldunków oraz powoduje zwiększenie ruchu gońców, na których z kolei czyhają zasadzki partyzantów dążące do przejęcia cennych wiadomości o nieprzyjacielu.

NISZCZENIE LOTNISK

Nowoczesne sposoby maskowania lotnisk oraz znajdujących się na nich samolotów i zapasów paliwa, utrudniają ich niszczenie z powietrza. Stąd działalność partyzantów skierowana bezpośrednio na lotniska ukryte w terenie, posiada niewątpliwe znaczenie dla operacji wojennych. A oto kilka przykładów tego rodzaju akcji:

W pobliżu pewnej miejscowości Niemcy zainstalowali nowe lotnisko. Gdy wiadomość o tym dotarła do partyzantów, szesnastu z pośród nich udało się nocą na wskazane miejsce z zamiarem zniszczenia lotniska i samolotów. Podzielili się oni na cztery grupy, z których każda miała do wykonania inne zadanie. Jedna z nich miała zniszczyć samoloty znajdujące się na lotnisku, druga wysadzić w powietrze zbiorniki benzyny, trzecia—podpalić sąsiednią wieś, w której kwaterowało dowództwo oddziału lotniczego, czwarta wreszcie miała przeszkodzić ewentualnemu zamiarowi pościgu za partyzantami. O godzinie trzeciej nad ranem obezwładniono posterunki wartownicze, a w parę minut potem przy pomocy granatów ręcznych i butelek z łatwo palnym materiałem /benzyna z kreozotem/ zniszczono trzy dwumotorowe samoloty, wysadzono w powietrze lub podpalono zapasy benzyny i podpalono wieś, w której zginęło około 10 członków załogi lotniska.

W innym wypadku lotnisko niemieckie zostało zainstalowane wśród lasów na wykarczowanym wyrębie leśnym. Pewnej nocy partyzanci podpalili las dookoła lotniska, a gdy załoga pośpieszyła gasić pożar pozostawiając lotnisko bez posterunków partyzanci zniszczyli 15 samolotów znajdujących się na ziemi.

AKCJA PRZECIW DOWÓDZTWOM NIEMIECKIM I ZDOBYWANIE WIADOMOŚCI O NIEPRZYJACIELU

Niektóre oddziały partyzantów są specjalizowane w niszczeniu kwater głównych dowództw niemieckich. Tego rodzaju działanie poza dezorganizacją dowodzenia, dostarcza partyzantom wiele cennych dokumentów wojskowych dekonspirujących położenie, siłę i zadania wojsk niemieckich. Dokumentv te wykorzystywane są przez partyzantów przy organizacji następnych akcji oraz dostarczane najbliższemu dowództwu wojsk regularnych.

Partyzanci pewnego oddziału w rejonie Leningradu spostrzegli w lesie troskliwie zamaskowany drut telefoniczny. Idąc śladem tego drutu, dotarli do dowództwa oddziału niemieckiego ukrytego w chacie leśnej w odległości 3 mil od głównej drogi. Obserwacje przeprowadzone przez partyzantów pozwoliły ustalić tryb życia prowadzonego w dowództwie, godziny przyjazdu i odjazdu gońców, siłę oraz czas zmiany wart i t.p. Wszystkie te dane wykorzystano następnie dla przygotowania planu operacji mającej na celu zniszczenie dowództwa. Niespodziewany atak dokonany pewnej nocy uwieńczył powodzeniem tę akcję oraz doprowadził do całkowitego zniesienia dowództwa i zdobycia ważnych dokumentów.

Zasadzki urządzane na drogach na wszelkiego rodzaju gońców i łączników dostarczają partyzantom również wielu cennych i najświeższych wiadomości o nieprzyjacielu.

WSPÓŁPRACA Z WOJSKIEM REGULARNYM

W wielu wypadkach uzgodnienie działań oddziałów partyzanckich z jednostkami wojska regularnego przyczynia się do osiągnięcia znacznych sukcesów, gdyż pozwala na zaskoczenie nieprzyjaciela przez partyzantów, których akcji nie przewidywał . Współdziałanie tvch dwóch elementów bywa przypadkowe lub z góry przewidziane.

Oto przykład sukcesu osiągniętego z przypadkowego współdziałania partyzantów z armią regularną. Z rozkazów znalezionych przy gońcu niemieckim zabitym w zastawionej na niego zasadzce, wynikało że 103 pułk piechoty niemieckiej otrzymał zadanie flankowego natarcia na pewne wzgórze bronione przez oddziały rosyjskie. Posiadając tę wiadomość, znajdujący się w pobliżu oddział partyzantów zdecydował się przeszkodzić akcji niemieckiej i ocalić jednostki rosyjskie. W obranym miejscu partyzanci zorganizowali zasadzkę, z której zaatakowali krzyżowym ogniem karabinów maszynowych, nieoczekujących uderzenia z tej strony Niemców. Wywiązała się uporczywa walka, w której partyzanci utrzymali się aż do nadejścia posiłków armii regularnej, zwabionych odgłosami bitwy. Wynikiem tej akcji było całkowite niepowodzenie planów niemieckich. W bitwie tej stracili Niemcy 450 zabitych i rannych, a partyzanci zdobyli 21 karabinów maszynowych i wiele innego sprzętu.

Przykładem skoordynowanej akcji partyzantów i wojsk regularnych było zaatakowanie pewnego dowództwa dywizji niemieckiej. Oddział partyzantów, który wytropił to dowództwo, zebrał wszystkie elementy potrzebne do opracowania planu ataku, jednak czuł się liczebnie za słaby do samodzielnego przeprowadzenia akcji. Wobec tego zwrócił się o pomoc do pobliskich oddziałów regularnych i wspólnie z nimi przeprowadził zamierzone działanie.

MORALNE ZNACZENIE DZIAŁAŃ PARTYZANCKICH

Zaskoczenie, szybkość działania i zdolność natychmiastowego ukrycia się po wykonaniu zadania—to są podstawowe elementy zapewniające skuteczność akcji partyzanckiej. Atakowanie pojedyńczych żołnierzy lub zwartych oddziałów, niszczenie transportów i składów, zasadzki na gońców oraz inne działania o charakterze sabotażowym, wywołują stałe poczucie niebezpieczeństwa na tyłach i utrudniają działania wojenne na froncie.

Żołnierz, który nigdy nie może przewidzieć, gdzie i kiedy będzie zaatakowany przez partyzantów, zmuszony jest do stałej czujności a spowodowane tym napięcie nerwów, szybko go wyczerpuje, obniża jego stan moralny i osłabia wartość bojową. Ten stan rzeczy pozwala nam dać wiarę treści rzekomych listów i pamiętników znalezionych przy zabitych lub wziętych do niewoli żołnierzy niemieckich.

Oto co pisze między innymi jeden z żołnierzy w swym liście:

"Musimy być bardzo ostrożni. Drzewa, krzaki otaczające nas są naszymi nieprzyjaciółmi. Za każdym krzakiem znajduje się ukryty partyzant. Trudno sobie wyobrazić, jak ta wojna działa na nasze nerwy. Spanie w nocy jest wykluczone. Leżąc wsłuchuję się w każdy szelest, a moje obawy nie są tylko moim udziałem. Zbyt wielu moich towarzyszy uśpili już partyzanci na wieki, bym mógł spokojnie wypoczywać."

A oto treść innego listu:

"Zasadzka oczekuje na nas na każdej drodze, a kuli partyzanta możemy się spodziewać zza każdego drzewa lub rogu. Ostatnio potyczka z partyzantami spowodowała dwudziestogodzinne opóźnienie w dostawie benzyny na front. W konsekwencji wojska rosyjskie zniszczyły 11 czołgów pozostawionych bez paliwa."

ZWALCZANIE PARTYZANTÓW

Dążąc do zlikwidowania działalności partyzantów, wojska niemieckie stosują wszelkie dostępne im środki. Teror stosowany wobec ludności cywilnej ma ją zastraszyć przed udzielaniem pomocy partyzantom. Ekspedycje karne i obławy mają zadanie zniszczenia i unieszkodliwienia oddziałów partyzanckich. Na drogach i w osiedlach rozplakatowane są ostrzeżenia dla żołnierzy niemieckich wzywające ich do stałej czujności i zabraniające chodzenia pojedyńczo i bez broni. Żołnierze mogą się ukazywać jedynie w pełnym uzbrojeniu i w grupach od 7 do 10 ludzi. Posterunki na drogach, mostach i innych ważniejszych punktach komunikacyjnych są wzmacniane w celu utrudnienia akcji partyzantów.

Wydaje się jednak, że wszystkie te środki mogą jedynie utrudniać działalność oddziałów partyzanckich, nie mogą natomiast uniemożliwić jej całkowicie.

PARTYZANCI W KRAJACH OKUPOWANYCH

Cytowałem już poprzednio wzmiankę o działalności partyzantów polskich. Partyzantce jej poświęcono w omawianej broszurze oddzielny ustęp, w którym przytoczono przykłady sabotowania przez wieś zarządzeń władz niemieckich dotyczących rekwizycji zboża oraz walkę jednego z oddziałów partyzanckich w okolicy Radomska. Do zlikwidowania tej partyzantki Niemcy byli zmuszeni ściągnąć znaczne posiłki z Częstochowy i w walce, którą stoczyli ponieśli znaczne straty.

Podkreślić trzeba, że w Polsce, której terytorium ze względu na położenie geograficzne jest newralgicznym punktem na tyłach niemieckich, działalność partyzantów może wyrządzać nieobliczalne szkody dla akcji niemieckiej na Wschodzie.

W innych krajach okupowanych jak Jugosławii, Norwegii, Czechosłowacji, Grecji i innych, działalność partyzancka jest również dość intensywna /szczególnie w Jugosławii/, aczkolwiek nie wywiera ona bezpośredniego wpływu na przebieg walk na froncie wschodnim.

STEFAN ZAREMBA

---

*We Are Guerillas—published by authority of Soviet War News issued by the Press Department of the Soviet Embassy—Hutchinson, str. 64.

HARKABUZ
Rzecz o budowie wsi



Może się zdawać, że niniejszy artykuł wykracza poza krąg spraw i tematów, które poruszamy w "Polsce Walczącej": nie dotyczy ani wojska, ani wojny, która rozgrywa się na całej kuli ziemskiej, ani "wojny cywilnej," która pali się ukrytym płomieniem pod całą ziemią polską, ani wojny duchowej, która się przetacza przez serce każdego z nas bez przerwy, nawet wtedy, gdy nie leci nad Niemcy, gdy nie płynie z konwojem, nie trzyma straży na brzegu wysp brytyjskich. Ale tylko, pozornie "Rzecz o budowie wsi" wyskakuje z toru żołnierskiego pisma. Jest to artykuł napisany przez żołnierza i dotyczy zbiorowej pracy żołnierzy. Po raz pierwszy w tych rozmiarach i od jednej strony odsłania on tę wojnę duchową, którą prowadzimy w nas samych—o siłę walki, o siłę przetrwania, o moc życia i działania po walce. Dlatego nie mieliśmy wątpliwości, że przysługuje temu artykułowi niezaprzeczone miejsce w piśmie żołnierskim.

W czasie krótkiego odkomenderowania w Edynburgu przed wystawą Sztuki Międzyalianckiej, która odbyła się przeszłego roku w tym mieście—kilku żołnierzy-architektów przy współpracy kilku kolegów malarzy w mundurach w zaimprowizowanej pracowni przygotowało cykl rysunków i projektów architektonicznych. Tematem ich jest przebudowa wioski orawskiej Harkabuz—wioski o żołnierskim imieniu i żołnierskim początku, jak wyjaśnia artykuł—na podgórskie osiedle wypoczynkowe. Projekt Harkabuza był wystawiony w Edynburgu, gdzie wywołał wielkie zainteresowanie i zyskał sobie szerokie uznanie. Potem wchodził w skład wystawy prac żołnierzy Brygady Spadochronowej, na której oglądał je P. Prezydent R.P. W niedługim czasie będzie wystawiony w Londynie.

Ale "Harkabuz" ma znaczenie nie tylko jako wyraz żywotności polskiego środowiska żołnierskiego. Jego znaczenie jest głębsze. Stanowi on znak łączności między przedwojennym życiem Polski a jej nowym życiem po wojnie. Jego najdalszy początek wywodzi się z prac Zakładu Architektury Polskiej na Politechnice Warszawskiej, którym kierował ś.p. prof. Oskar Sosnowski poległy w oblężeniu Warszawy. Zadaniem tego Zakładu była inwentaryzacja pomników naszego budownictwa i opracowanie naukowe zebranego materiału. Jedna z sekcji zakładu prowadziła taką pracę na wsi polskiej i zdołała przepracować pas ziem południowych i wschodnich Polski. Od r. 1938 zaczęto na tej podstawie pracę projektowania wzorowych budowli wiejskich.

Pracę tę przerwała wojna i katastrofa. Praca ta podjęta została znowu w szeregach żołnierskich, nie w pełnej skali, ale bodaj w wyższym natężeniu serca, wyobraźni i woli, jakie wywołuje tęsknota do dalekiego, cierpiącego i niszczonego kraju.



Zamierzeniem bezpośrednim projektu przebudowy Harkabuza było zaznajomić społeczeństwo brytyjskie z polskim budownictwem małomiasteczkowym i wiejskim, przypomnieć Polakom ich własne formy architektoniczne. Rysunki zamieszczone powyżej, pozwalają czytelnikowi poznać treść pracy:

1/ /U góry, obok tytułu/ Dom mieszkalny: widok zewnętrzny—projektował Zbigniew Dmochowski, rysował Stanisław Kowalczewski. 2/ Szczegóły elewacji i wnętrza—projektował Zbigniew Dmochowski, rysował Stanisław Kowalczewski. 3/Rzut jednej ze ścian wnętrza—Zbigniew Dmochowski. 4/ Polichromia kościoła—Stefan Kątski. 5/Wnętrze kościoła: widok na chór—Jerzy Faczyński. 5/ Kaplica: widok, przekrój, wnętrze i witraż—Jerzy Faczyński.

Projekt Harkabuza nie jest przeznaczony do wykonania. Obraz tej wioski, to przykład jednego ze studiów powstałych na podłożu przemyśleń wyrażonych w niniejszym artykule.



I.

Harkabuz—to dzisiaj nazwa małej wioski orawskiej w powiecie nowotarskim. Ongiś — nazywał się tak pierwowzór żołnierskiego karabina. Ciężka strzelba o potężnej lufie, opieranej na widełkach, "Arquebuse", stanowiła nowoczesną broń regimentu harkabuzerów Króla Stefana, i przedmiot ich słusznej dumy. Gdy jeden z regimentu, po trudach wojennych, postanowił na południowym pograniczu Rzplitej założyć wieś, nie znalazł dla niej imienia piękniejszego od nazwy swej broni. Inni orawscy koloniści dawali swym osadom nazwiska własne: Wilk założył Orawkę pod Wilkiem, Czerwony—Orawkę pod Czerwonym, Sarna wybudował Podsarnie. Budowniczy—żołnierz, zamiast przekazać potomności pamięć o sobie, wolał swemu dziełu dać tę samą godność, którą sam się chlubił: Harkabuz.



Harkabuzjer

ZAŁOŻENIE

Przed przystąpieniem do rozważania budownictwa drzewnego na Orawie—krótkie wyjaśnienie. Rozważania, dotyczące kształtu, formy architektonicznej, przeprowadzić trzeba na zasadniczym obrazie budynku. To znaczy, że nie ma on być fotograficzną kopią, lecz winien posiadać te cechy, najistotniejsze, które z budownictwa orawskiego stworzyły odrębny, o wspaniałych wartościach, typ budownictwa drzewnego. I podobnie, jak w najsurowszym choćby badaniu gotyckiego zamku lub romańskiego kościoła, nie bierze się pod uwagę rumowisk ani pokrzyw, zarastających podwórze, spękanych sklepień ani pajęczyn, zasnuwających okna, tak samo przy badaniu formy budownictwa wiejskiego tylko te formy bierzemy pod uwagę. Pamiętając o twardej rzeczywistości życia wiejskiego w Polsce, o nędzy, jakże częstej, o związanym z nią strasznym częstokroć stanie zdrowotnym chłopskich mieszkań—przejdziemy, wraz z cierpliwym czytelnikiem, do poszukiwań zaradczych w ostatecznych wnioskach artykułu. Do planowania przyszłości niezbędna jest jednak świadomość tych wartości i tych ukrytych sił, jakie naród wytworzył i zachował. Nie są one błahe, ani małe—a dla dobra kultury muszą stać się ważkim czynnikiem w budowie nowego życia nowej Polski.

CHATA ORAWSKA

Chałupa orawska, to wielkie drewniane domisko, mocno rozsiadłe na skalistym gruncie podłoża. Widać ją zdaleka na stoku podtatrzańskiej doliny. Przytulona tyłem ściany do zaleśnionego zbocza, patrzy ku południowi twarzą ściany przedniej. To lico dzieli się na dwa poziome pasy, na dwie kondygnacje.

W dolnym pasie, przyziemia, są drzwi do sieni i rząd okien izb mieszkalnych. Pas górny, to wysunięta poprzed ścianę piętra galeryjka, balkon z szeregiem rzeźbionych kolumienek, podtrzymujących okap dachu. Dach wspaniały, gra w słońcu soczystą fakturą poziomych linij gontu; uniesiony lekko nad balkonem, spadzistymi płaszczyznami obejmuje boki budynku i, jak tren płaszcza, spływa nisko nad ziemię za tylną ścianą chałupy.

Masywne drzwi wejściowe wykonano z profilowanych klejek, ozdobnie ułożonych w kształt promienistego słońca. Drzwi osadzone są w węgarach z potężnych słupów, związanych z belką nadproża zwieraczami, wyciętymi w półkole. Węgary, nadproże i zwieracze zmocowano bukowymi gwoździami, kołkami o kanciastych, sterczących łbach.

Przez sień wchodzi się do izby pierwszej, izby czarnej. Jest naprawdę czarna i ciemista. Ściany zlekka ponad poziomem drzwi nachylone ku wnętrzu, wybiegają wysoko w górę i aż w przestrzeni poddasznej przekryte są powałą. Powała z okrąglaków skrzy się jak polerowany jaszczur od skrystalizowanej sadzy, co osiadła tam przed wiekiem z kurnego wówczas pieca, a teraz ma twardość krzemienia. Od skąpego blasku niewielkich okien kładą się odblaski na wypukłych, gładkich aż do połysku caliznach świerkowych ścian. Izba czarna jest przede wszystkim miejscem pracy, tej, którą rolnik wykonuje w domu; to także miejsce przygotowania strawy i jadalnia na dzień powszedni.

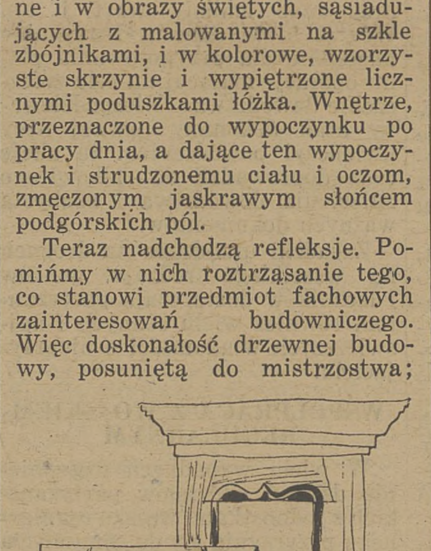
Do izby białej, świetnicy, prowadzą drzwi rzeźbione, zwieńczone lekkim, renesansowym gzymsem nadproża. Prostokątny ich otwór złagodzono delikatnym profilem późnogotyckiego łuku. Nad nim, pośrodku, wyryto krzyż, symbol chrześcijaństwa, i godło góralszczyzny, parzenicę. Wykwitają z nich na boki dwie gałązki, które cienkimi żłobinkami biegną po nadprożu, spływają po węgarach, by, na łokieć nad progiem, wygiąć się i zakwitnąć wdzięcznymi bukiecikami lelui i listków.

Jakaż różnica w rozwiązaniu drzwi zewnętrznych, drzwi—stróża, i tych drugich—drzwi wnętrza. Pierwsze są dla obcych: nieprzystępne, jeżą się groźnymi łbami gwoździ jak łuską pancernej karaceny (różni ludzie chodzili ongiś po tym granicznym kraiku Orawa). Drugie są dla przyjaciół: wejdź, miły gościu, do świetnicy, nasz dom jest twoim domem.

Z mrocznej, gotyckiej izby przekraczamy próg. Odmienność zupełna. Jasne, matowe ściany z ociosanych płaz mają ciepłą barwę bladego złota. Niski pułap przytulnie kładzie się nad głową na podłożu z fazowanych belek, wspartych sosrębem. Sosręb bogato pokrywa rzeźba, z hieratyczną, kolistą "gwiazdą" pośrodku, ujętą w kwiaty, gałązki, "gadziki" i teksty modlitewne.

Łagodne światło sieje się przez liście roślin, ustawionych w oknach, przez muślinowe firanki. I w miękkich liniach ukazuje się to spokojne, zaciszne wnętrze, zasobne i w obrazy świętych, sąsiadujących z malowanymi na szkle zbójnikami, i w kolorowe, wzorzyste skrzynie i wypiętrzone licznymi poduszkami łóżka. Wnętrze, przeznaczone do wypoczynku po pracy dnia, a dające ten wypoczynek i strudzonemu ciału i oczom, zmęczonym jaskrawym słońcem podgórskich pól.

Teraz nadchodzą refleksje. Pomińmy w nich roztrząsanie tego, co stanowi przedmiot fachowych zainteresowań budowniczego. Więc doskonałość drzewnej budowy, posuniętą do mistrzostwa;



Drzwi zewnętrzne i wewnętrzne chaty orawskiej

więc znakomite wyzyskanie przestrzeni. Te wszystkie czynniki świadczą o posuniętej do doskonałości wiedzy technicznej, nie tylko one jednak czynią z dzieła orawskiego budarza — Architekturę.

DROGI ARCHITEKTURY

Określił ją ktoś jako umiejętność techniczną, o której myśleć i którą tworzyć może tylko poeta. Architektura jest sztuką, bardziej może niż inne, opartą na połączeniu dwóch czynników: kultury materialnej i kultury duchowej. Oczywista, że kultura materialna posiada cechy kraju, z którego wyrosła. Jest przecież związana z klimatem, z glebą, roślinnością, z rzeźbą terenu i położeniem geograficznym, z tym wszystkim, co określamy zazwyczaj pojęciem "warunków przyrodzonych". A czynniki pozamaterialne—strawa ducha? Potrzeba tej strawy jest powszechna—odczuwają ją wszystkie narody, i wszystkie czynią jej zadość.

Dzieła sztuki, tworzone przez artystów wszystkich narodów, stają się z czasem własnością wszystkich narodów. W tym sensie sztuka jest międzynarodowa. Właśnie, jak strawa. Smakuje każdemu i każdego siły pokrzepi skiba polskiego, żytniego chleba lub łyk francuskiego wina. Ale nie zaszumi nasze żyto na prowansalskiej, kamienistej glebie i nie urośnie winny krzew na naszych polach. I w sensie tej przenośni sztuka jest narodowa. Narodowa, jak język.

W mowie "wiązanej", w poezji, jednakowe obowiązują zasady sonetu, czy eposu we wszystkich literaturach. W sztuce, w architekturze—jednakowe zasady układu plastycznego mają być wypowiedziane językiem narodowym.

Jak rozwiązał tę sprawę orawski chłop—wspaniały przedstawiciel polskiej sztuki ludowej?

Przypomnijmy znakomicie utrzymane proporcje jego budowli. Umiejętnie dzielą one całą bryłę na podstawowy masyw mieszkalnego parteru i na galeryjkę piętra, trochę zbyt niską, by się po niej swobodnie poruszać, ale na tyle wysoką, by stała się tym, czym być powinna przede wszystkim: ozdobnym zwieńczeniem, dekorującym gzymsem chałupy. Jest oczywiste, że budowniczy-artysta wyczuwał tu kolejną ważność środków i celów: tam, gdzie nie godziło to w sprawne funkcjonowanie budynku mieszkalnego, podporządkował wygodę względom sztuki.

Szedł tu zresztą drogą utartą, i to przez najlepszych. Nie inaczej przecież poczynał sobie i twórca ateńskiego Partenonu. By wieńcowi rytmicznej kolumnady dać odpowiednio potężny cokół, ustawił go ze schodów nie na skalę ludzką budowanych. Na te stopnie gigantów trzeba wchodzić po przystawionych, pomocniczych szczebelkach,—ale nieskazitelność proporcji doryckiego stylu została zachowana, stworzono dzieło doskonałe i nieśmiertelne.

Przypominamy dalej wspaniale podkreślone różnice zewnętrznych i wewnętrznych odrzwi chałupy: kolczastych, zamczystych, obronnych—i wytwornie ozdobnych, gościnnych. Nasuwa się inny obraz. Potężny, renesansowy "Palazzo Pitti" we Florencji. Jego kolosalną fasadę zewnętrzną (od miasta, które pokornym okołem domów obiegło przedpałacowy plac), wykonano z bloków kamiennych, cztero—i pięciometrowych, o licu przednim zgrubsza tylko uderzeniami młota ociosanych.

W tej posępnej, groźnej i przygniatającej swą mocą mas wyrażona jest cała potęga i pycha rodu florenckich magnatów, ich stosunek do obcych, którym wzbronione jest przekroczenie progu siedziby.

Ale Palazzo Pitti ma i drugą fasadę wewnętrzną, która wychodzi na sławne ogrody Boboli. Duże, jasne okna szeroko otwierają widok na świat, szeregi lekkich kolumienek podtrzymują wdzięczne łuki i tympanony, cała ściana uśmiecha się do błękitu włoskiego nieba, do kunsztownych klombów i wirydarzy, do domowników i gości tego gniazda.

Ta sama myśl, która tu wiodła wielkich architektów wspaniałego okresu naszej ery, kierowała i na Orawie ręką chłopskiego cieśli-artysty. Poprzez olbrzymią odległość czasu i przestrzeni, środków i możliwości technicznych, tradycji i umiejętności—przewija się ta sama nić przewodnia myślenia architektonicznego. I w tych, jakże różnych środowiskach i na jakże różną skalę zakrojone, powstają dzieła w treści swojej—klasyczne.

Gdy padło tu to wielkie słowo, warto wykorzystać skromne ramy tego artykułu dla podkreślenia jednej choćby cechy, udowadniającej klasyczność ludowej kultury materialnej. Jest nią proces kształtowania się formy.

Sztuka klasyczna rodziła się powoli w trudzie poszukiwania ideału. Każdy niemal obszerniejszy podręcznik historii sztuki pozwala zaobserwować formowanie się np. rzeźby greckiej: długa seria fotografii figur powoli w trudzie poszukiwania męskich, "Apolinów," w tej samej, niemal niezmiennej, postawie. Oto prymitywy, ściśle jeszcze związane z pierwowzorami egipskimi: ciało wyprostowane, głowa podniesiona, wypukłe oczy wpatrzone w dal, jedna noga lekko wysunięta w przód, jedna ręka ugięta nieco w łokciu. Przyglądamy się posągom co raz późniejszym, przeskakujemy dziesiątki, a potem setki lat rozwoju rzeźby helleńskiej—widzimy prawie nieodmienioną pozę i gest, niezmienioną ideę układu. Tylko ciało nabiera mięśni i utajonego ruchu, tylko gest—życia, a oczy wyrazu. Idea artystyczna, kształcona przez setki lat w niezmiennych ramach, rozkwita wreszcie w blasku arcydzieł Fidiasza, Skopasa i Praksytelesa, w blasku wielkiej, klasycznej sztuki.

Partenon Ateński uznano za jedno z najwyższych osiągnięć ludzkiego ducha. Ale Partenon nie był w Grecji niczym nieoczekiwanym. Obok filozoficznej myśli greckiej poprzedził go szereg innych świątyń, budowanych na wątku tego samego planu i budowy, prostokątnych, otoczonych kolumnami i nakrytych dwuspadkowym dachem.

Od pierwszych prób—aż do akropolskiego szczytu wiodła architekta greckiego zasada doskonalenia formy, osiągniętej przez poprzedników. Nie: "inaczej, a więc lepiej," ale "doskonalej, a więc lepiej"—oto, w czym przejawiało się, trwające przez pokolenia, poczucie solidarności wysiłków twórczych i ofiarnej służby tej samej idei. A ta metoda twórczości artystycznej święciła triumf przez stworzenie dzieł o wartościach nieprzemijających, do dziś nieprześcignionych.

BUDOWNICTWO WIEJSKIE

Przyjrzyjmy się teraz tworzeniu się wiejskiej sztuki ludowej. Przede wszystkim odrzucić musimy popularne, a błędne pojęcie o jej samorodności. Sztuka ludowa niewątpliwie samorodną nie jest. W swym rozwoju sztuka i budownictwo ludowe ulegały licznym i różnorodnym wpływom. Kult religijny i kościół, stosunki społeczne, sąsiedztwo wielkich szlaków handlowych, wędrówki ludności, dwór i obyczaj dworski—wszystko to były czynniki, wywierające wybitny wpływ na sztukę wiejską. Wpływy te docierały jednak do środowiska, kształtowanego przez czynniki o charakterze nieporównanie mniej zmiennym, jak np.: klimat, rzeźba i pokrycie terenu, związane z tym zajęcia i stan gospodarczy mieszkańców, materiał budowlany. W następstwie tego wpływy obce kultura ludowa przyswajała niezmiernie powoli i po skrupulatnym wyborze; jednocześnie zaś tempo rozwoju powolne, pozwalało rzeczy przyjęte wchłaniać tak dokładnie, że wtapiały się one całkowicie w obyczaj miejscowy i w jego formy plastyczne. Jakkolwiek więc nie samorodna, sztuka ludu jest bez wątpienia sztuką rodzimą—stanowi bezsprzeczną własność polskiej wsi, z której podłoża wyrosła.

Bezpośrednim tego wynikiem jest oryginalność, odrębność—ale odrębność wielkich grup regionalnych. Inaczej budują na Mazowszu, niż na Kurpiach, inaczej na Orawie, niż na Podhalu czy Huculszczyźnie. Każda z tych grup ma swoje własne sposoby budowania i zdobienia. To, co można zaobserwować na obszarze tych grup—choć nie jednostajne, jest jednak wyraźnie dziełem twórczego wysiłku całej grupy. Opiera się na tym samym planie, tej samej budowie, komponowane jest według powszechnie, społecznie uznanych zasad proporcji i smaku artystycznego. I nic dziwnego—bo planu, konstrukcji i formy nie kupiono u obcych, nie powtórzono z obrazka, ale wielowiekowym trudem pokoleń stworzono i wykształcono do tego stopnia doskonałości, na jaki wydźwignąć się mógł zbiorowy geniusz kraju.

Jak u artystów antycznej Hellady, rodziny i dynastie polskich budarzy i cieślów przekazywały z ojca na syna zdobytą wiedzę i przyjęty na siebie obowiązek: doskonalenia sztuki ojczystej.

KRYZYS I PRÓBY JEGO PRZEZWYCIĘŻENIA

Proces ten uległ zahamowaniu w ostatnim półwieczu. Nie wszędzie stało się to jednocześnie i nie z jednakową siłą, jednakże podobnie, jak ginąć poczynał ludowy strój, ludowy obyczaj, tak samo tradycjonalne budownictwo wiejskie roztapiać się poczęło w zalewie tandetnego nowinkarstwa. Złożyło się na to wiele przyczyn, ale podstawowe z nich wydają się: rosnące tempo życia nieprzygotowanej, zbyt mało oświeconej wsi—i postępujące w ślad za tym zubożenie. Źródłem zła była niewola i zabór. Wieś polska, przemyślnie trzymana przez okupacyjną administrację zdala od nurtujących Europę prądów rozwojowych, żyła powolnym życiem okresu, który przeminął.

Tymczasem koniec dziewiętnastego i wiek dwudziesty zmieniły wiele z tych warunków, które wieś przywykła uważać niemal za niezmienne. Samowystarczalność gospodarstw, sposoby uprawy i możliwości użytkowania roli, środki komunikacyjne, uprzemysłowienie kraju, raptowny spadek zalesienia—te i inne sprawy stawiały wieś, nieprzygotowaną, w położeniu zupełnie nowym. Powstawały zagadnienia za zagadnieniami, trudna i brzemienne w skutki i zostawały niezaspokojne. Unowocześniana gwałtownie za granicą zachodnią gospodarka rolna wymagała i u nas wszechstronnych wkładów. Na wkłady nie było środków.

Nieliczne grono działaczy wiejskich poczęło budzić świadomość położenia wśród mas włościańskich. Masy te były olbrzymie, liczyły powyżej 70% stanu ogólnego ludności kraju. W rezultacie—zbyt rzadko rozsiane organizacje, rozporządzające niewystarczającym sztabem fachowych pracowników i instruktorów, operujące znikomymi środkami pieniężnymi, zdołały wprawdzie obudzić na wsi świadomość potrzeby reform, nie sprostały jednak, nie mogły sprostać zadaniom na skalę ogólnokrajową, których rozwiązanie było obowiązkiem państwa. Ta sytuacja ostatniego ćwierćwiecza niewoli, scharakteryzowana w najogólniejszych skrótach, stanowiła tło zaburzeń, jakim współcześnie ulegało budownictwo wiejskie.

Ubytek drzewostanu spowodował powszechne obniżenie jakości, a niejednokrotmie brak tradycyjnego dla wsi budulca. Powstała potrzeba stosowania konstrukcji bardziej oszczędnych, a nawet wprowadzenia zastępczych materiałów budowlanych. Organizowanie życia i pracy rolniczej na nowych podstawach wymagało zasilenia osiedli wiejskich nowymi budowlami, dotychczas nieznanymi: prócz staroświeckich szkółek wiejskich stały się potrzebne rolnicze szkoły zawodowe, uniwersytety ludowe, ośrodki zdrowia i domy społeczne. Prócz dotychczasowych obórek, stodółek i sernic—nowoczesne obory, stajnie i chlewnie zarodowe, śpichrze-silosy, mleczarnie. Rodziły się dziesiątki i dziesiątki nowych zagadnień budowlanych, potrzeba nowych planów i nowych konstrukcji. Zastawały wieś rwącą się do pracy, pełną chęci rozbudowy—lecz pozbawioną dostatecznej pomocy z zewnątrz i najczęściej bezradną wobec ogromu zadań.

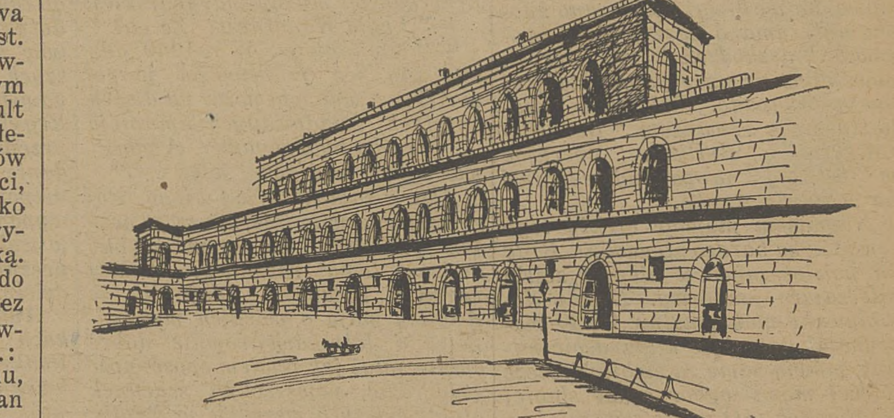
Oczywista, stan ten ulegał pewnym wahaniom w czasie i przestrzeni; bywały gospodarstwa, wsie, czy nawet całe dzielnice, w których gospodarka rolna i budownictwo wiejskie rozwijały się w sposób właściwy. Ogólnie jednak—dopiero lata niepodległości pozwoliły stwierdzić, że najniższy punkt został już przebyty, a krzywa życia wsi, choć nierównomiernie i pełna załamań, powoli wznosi się ku górze.

Praca była od podstaw—a na interesującym nas odcinku budownictwa należy stwierdzić nie tylko brak fachowców, ale i katastrofalny brak zrozumienia dla sprawy wśród młodych architektów i budowniczych. Nieliczne jednostki, odsetek zbyt mały w stosunku do rozmiarów, zasięgu i wagi zagadnienia, musiały wykonywać pracę, do której należało powołać zastępy specjalnie szkolonych fachowców. Nic też dziwnego, że proces przebudowy wsi rozwijał się powolnie. Nie ułatwiało sytuacji daleko posunięte pomieszanie pojęć, panujące wśród architektów, zajętych przede wszystkim budownictwem miejskim.

Okres pierwszych lat niezależności państwowej upamiętnił się niefortunnymi usiłowaniami stworzenia "stylu polskiego" poprzez mechaniczne powtarzanie form polskiego baroku i renesansu. Usiłowania te dadzą się usprawiedliwić chyba tylko najlepszą wolą, tłumioną przez lata niewoli tesknotą do wyrażania odrębności narodowej we wszystkich przejawach życia—i wynikłym stąd, zanikiem jasności sądu o sensie i treści architektury. Wynikiem tego było słynne niby "dworkowe" budownictwo dworców kolejowych, wprawdzie pozbawionych krytych peronów, ale piętrzących się czerwonymi dachami; fantastycznie renesansowe attyki i barokowe arkady, przylepione do gmachów o konstrukcji, planie i przeznaczeniu całkowicie tym formom obcej.

Ten stan rzeczy nie trwał długo, a naturalna reakcja, która poszła po linii równania z formami architektury nowoczesnej w innych krajach Europy, skierowała rozwój architektury polskiej na zupełnie nowe tory. W wyniku niełatwych i twórczych studiów poczęto stosować nowoczesne konstrukcje i nowe materiały budowlane. Osiągnięto świetne wyniki w dziedzinie planowania: od domów jednorodzinnych poprzez bloki mieszkaniowe i budowle użyteczności społecznej aż do projektowania wielkomiejskiego.

Praca ta, której zasługi i znaczenie w ogólnym dorobku kraju były niemałe—w jednym



Pałac Pitti we Florencji

tylko punkcie niosła w sobie zaród nowej choroby. Jak przedtem czerpano bezkrytycznie ze źródeł tradycji krajowej, tak po r. 1925 tradycję uznano za niebezpieczeństwo dla nowoczesności. A nowoczesność formy, znów bezkrytycznie opierano na wzorach obcych: francuskich, holenderskich, skandynawskich, niemieckich. Rezultaty nie okazały się najlepsze: wprawdzie budownictwo polskie istotnie upodobniło się do europejskiego, ale zapożyczywszy pierwiastki indywidualne przodujących architekturze europejskiej narodów, charakter własny zatraciło niemal całkowicie. Stawało się rzeczą co raz bardziej oczywistą, że w sposobie myślenia architektów polskich muszą zajść nowe zmiany. Nadeszła wojna—i przerwała wysiłek zabudowy, i miast, i wsi.

PRZED PROGIEM PRZYSZŁOŚCI

Po odzyskaniu niepodległego bytu praca podjęta zostanie na nowo. Ostatnim celem artykułu jest rozważyć, jak trzeba będzie formować budownictwo wiejskie nowej Polski.

W rozważaniach nad budową chałupy orawskiej, przyjętej jako przykład wykształconego budownictwa ludowego, zarysowały się ogólnie czynniki, formujące architekturę. Dają się one streścić w trzech słowach: przeznaczenie—budulec—twórca.

Oczywista, w określeniu "przeznaczenie budynku" rozumieć będziemy zarówno potrzeby, jakie ma on zaspokoić, jak to wszystko, co na zadania jego ma wpływ. W pojęciu "budulca" zawiera się zarówno charakter tworzywa, jak jego cechy konstrukcyjne, akustyczne, cieplne ii. Wreszcie, zgodnie z wyrażonym już wyżej przekonaniem o wysokiej wartości architektury, tworzonej przez zbiorowy i długodystansowy wysiłek grup etnicznych, w pojęciu "twórca" uwzględnimy w dostatecznej mierze wpływ środowiska, z jakiego wywodzi się sztuka budowniczego, rodowód tej sztuki, oraz te dodatnie skutki, jakie dla projektowania nowoczesnego dać może praca zespołowa.

ZBIGNIEW DMOCHOWSKI

trzy rysunki w tekście

JERZEGO FACZYŃSKIEGO

Bez black-outu

Propaganda, jako ta druga, a może trzecia linia armii frontowej, cieszy się na tej wojnie wieloma udogodnieniami i względami. Gdy w Szkocji odbywała się zmiana "m.p." nas jako Czołówkę wysłano czasowo do Anglii. Obsłużyliśmy więc: szkoły lotnicze, warsztaty, lotniska operacyjne i część marynarki. A że był to akuratnie w Anglii okres "rewanżów" niemieckich za Lubekę i Rostock—to należy już zaliczyć tę okoliczność do specjalnych względów, którymi cieszy się ta trzecia, ruchoma linia frontu.

"Linia" ta odwala swoją służbę n.p. w miejscowości na zdecydowanym południu Anglii, dając przedstawienie w koszarach piechoty angielskiej, które bywały już pod obstrzałem artylerii niemieckiej z "tamtego brzegu," po tym dowiaduje się, że teatr, w którym miała wystąpić we wtorek wieczorem, został w poniedziałek zmieciony z powierzchni ziemi w czasie niemieckiego nalotu na jedno z miast angielskich, oznaczonych w Baedekerze trzema gwiazdkami.

Na drugi dzień wobec braku teatru zmieniono tej "tyłowej" Czołówce rozkaz wyjazdu, wymieniając jako nowy cel jedną z najbardziej wysuniętych wysp na Kanale, gdzie mieliśmy spotkać naszych marynarzy. Można powiedzieć, że mieliśmy w ostatnim okresie czasu dość duże powodzenie, nie tyle sceniczne—ile . . . życiowe, bo na drugi dzień rano znowu wstrzymano nasz wyjazd spowodu "uszkodzeń" na wyspie, powstałych w nocy poprzedzającej naszą eskapadę. Tak więc minęliśmy się z rewanżem "Baedekerowskim" Berlina, operując w "tyłowej" propagandowej linii na południu Anglii.

Nawiasem mówiąc efekty tego rewanżu są bardzo niewielkie. Brak sił powietrznych u nieprzyjaciela uderzająco jaskrawy. Naloty dokonywane maksymalnie 25-30 maszynami, trwające kilkanaście minut, mówią same za siebie; jeszcze więcej mówi wybór celów słabiej bronionych. O wiele potężniejsze wrażenie robią ślady starych zniszczeń z tamtegorocznych "blitzów." Nie chce się wierzyć własnym oczom chodząc po ulicach wielkiego portowego miasta Y. w Anglii południowej; port jest nietknięty, ale miasto . . . Widziałem Liverpool, Coventry, Clydebank, widziałem londyńskie City i zawsze z uszanowaniem schylałem głowę przed hartem ducha ludności brytyjskiej, ale ten ogrom cierpień ludzkich, zastygłych obecnie w martwej ruinie wielkiego miasta czyni przejmujące wrażenie. Obok tych iście pompejańskich ruin płynie normalne życie ocalałych ludzi. Funkcjonują sklepy, hotele, kursują autobusy. W restauracji, w której siedzimy przy kolacji, gra nawet orkiestra trzyoosobowa. Okna wychodzą na leżący w gruzach zwał olbrzymiego hotelu i teatru. Zapytuję kelnerkę, czy wiele osób ocalało w tych gmachach. Odpowiada spokojnie:

—"Byli w shelterach pod hotelem, a sheltery—widzi pan—zasypane, więc i oni . . ."

"Więc i oni . . ." Orkiestra angielska gra polskie melodie, skrzypek uśmiecha się do nas, jakaś starsza pani podchodzi do stołu i mówi życzliwie:

—"Chętnie widzimy Polaków. Polacy to wielki naród. Może zaglądną panowie jutro do naszej kantyny angielskiej."

Jeden z nas mówi:

—"Podziwiamy nastrój tego miasta, słyszeliśmy o ciągłych dziennych i nocnych nalotach. Co tu się musiało dziać?"

Pani odpowiada z uśmiechem:

—"Przyzwyczailiśmy się. Prawie cała ludność wychodziła z miasta na noc z dziećmi i tobołkami nocując bez względu na pogodę w lasach lub krzakach przydrożnych. Rano wracali wszyscy do pracy. My chlubimy się tym zniszczeniem. To nasza duma. Ale co to znaczy wobec waszej Warszawy? Przecież mr. Churchill w każdej mowie wymienia Warszawę. Wyście przeszli więcej . . ."

Istotnie Mr. Churchill mógłby powiedzieć śmiało: Coventry, Londyn, Plymouth, Liverpool, Bath, a mówi uparcie: Warszawa, Rotterdam, Belgrad. Ciekawe! Dziwny naród, co?

W tym samym mieście portowym Y. spotykamy polskich marynarzy. Odwiedzamy ich, gramy dla nich, rozmawiamy—jest nam dobrze i przyjemnie. Wyglądają zdrowo i są w doskonałej formie. Reagują żywo na aktualne kawały, interesują się polityką, wierzą w zwycięstwo. Czytają wiele polskich pism. Dyskutują z nami na temat aktualnych artykułów. Dochodzi do nich "Polska Walcząca" nawet na morzach, ale z opóźnieniem. W porcie opóźnienie jest także, ale znacznie mniejsze. Współpracują najżywiej może ze wszystkich broni z Anglikami. Ciekawi mnie więc szczera opinia o tej współpracy. Wyciągam ich na rozmówki. Mówią prosto, po marynarsku:

—"Szkoda gadać! Anglika poznaje się na morzu. To wspaniały naród."

—"Odważni?"—pada pytanie.

—"Na morzu? Panie, widziałem ich w czasie operacji na Krecie . . .—mówi młody porucznik naszej Marynarki Wojennej— . . . i nie mam słów zachwytu. Idą w morze na wroga jak szaleńcy. Czasem idą na pewną śmierć, bez wahania, jeżeli tego potrzeba. Podejmują często na morzu akcje przeciw przeważającej sile, a wszystko to odbywa się we wzorowym porządku, dokładnie, spokojnie—jak na paradzie. Napiją się whisky, nie pogardzą tradycyjnym "cup of tea," a po tym walczą jak lwy, a raczej jak stare wilki morskie."

Mój informator mimo młodego wieku jest także, zdaje się, starym wilkiem morskim. Na piersi wstążeczka Legii Honorowej, no i Kreta w książce służby marynarskiej.

—"Legia Honorowa? Za co?

—"Nic takiego. W r. 1940, gdy staliśmy we francuskim porcie w Afryce, wybuchł pożar na dwóch okrętach, załadowanych amunicją . . . i trzeba było zagasić. A ponieważ byłem pod ręką, więc . . ."

Aha. I zagasił. Nic takiego. Porucznik czerwienieje, spuszcza oczy jak panienka, po czym szybko zmienia temat rozmowy. Piękny naród ci Polacy! Zdaje się, że Anglicy mają o polskich marynarzach i lotnikach równie dobre opinie, gdyż jak miałem sposobność stwierdzić, powszechny szacunek otacza naszych wszędzie w Anglii. Z tego szacunku powstaje opinia, z opinii uznanie dla nieustającego wkładu sił polskich w tę wojnę, a z tego nasze niezaprzeczalne uprawnienia na przyszłość.

To też, na tym tle, każdą próbę zamącenia dobrych stosunków pomiędzy Anglikami i Polakami w decydujących momentach wojny, trzeba traktować bardzo otwarcie i raz jeszcze, jako działalność V kolumny dobrze zakamuflowaną, a, niestety, tu i ówdzie wydającą zatrute owoce. Świadomie i celowo cytuję opinię naszych marynarzy o Anglikach i powołam się w tym felietonie jeszcze i na opinię lotniczą, by przestrzec kolegów w Szkocji i Anglii przed łatwowiernym powtarzaniem plotek antybrytyjskich i demagogicznych pogłosek.

Powtarzam: badajcie źródła tych rzeczy, szukajcie dobrze, a chwilowo w braku innej "roboty" na froncie zajmijcie się demaskowaniem V kolumny. Biła nas ona we wrześniu 1939, biła we Francji, czas zacząć bić ją w Anglii. Po prostu bić. W czyim interesie leży kopanie przepaści pomiędzy nami i sprzymierzeńcami? Odpowiedzcie sobie sami. Odpowiedzcie i bijcie V kolumnę po mordzie w Wielkiej Brytanii, zanim dane Wam będzie bić I kolumnę niemiecką na brzegu Kontynentu bagnetem i tommy-gunem.

Opinia lotnicza w tej sprawie jest niemal jednomyślna. Lotnicy tu i ówdzie mają wprawdzie zastrzeżenia co do powolności i odmiennej od naszej "natury" Anglików, ale na wszystkie pytania, dotyczące zachowania się Anglików w powietrzu, odpowiedzi naszych były zgodne: "Są odważni, nawet bohaterscy w ramach King's Regulation. To znaczy w ramach przepisów. Lecą i wykonują zadanie bez ryzykanctwa i może bez niepotrzebnej brawury. Nie było wypadku, aby Anglicy stchórzyli w walce powietrznej; są sportowo prężni, są odważni, walczą bardzo dzielnie."

Anglicy mówiąc o naszych lotnikach nie mają słów pochwały. Podkreślają cechy im obce: brawurę i ryzykancką odwagę. Trudno. Taki już jest nasz naród. Taki był pod Somosierrą, taki w roku 1920, we wrześniu 1939, we Francji przy odwrocie na linię Maginot, taki jest teraz w powietrzu, na morzu, pod Tobrukiem, Gazalą, pod okupacją niemiecką. Piękny naród! To nie znaczy byśmy nie mieli doceniać odwagi, regulowanej przepisem. Kto wie, czy po doświadczeniach tej strasznej wojny, nie będziemy wyrabiali stopniowo w młodym pokoleniu idei typu człowieka gotowego na wszystko, ale odważnego w ramach przepisów. Może to się nie uda, bo inna jest nasza natura, może to będzie groźne dla charakteru polskiego, ale na pewno będzie to przewidujące z punktu widzenia interesu polskiego, ale na pewno będzie to przewidujące z punktu widzenia interesu społecznego.

Wychowano nas w innej szkole: uczyliśmy się czytać na powstańczych opowiadaniach, pierwsze lekcje historii "braliśmy" z opisów poświęceń i męczeńskiej ofiary Polaków. Martyrologia trwa. Dzieci nasze rozpoczną znowu naukę od opisów obrony Warszawy, a pierwsza lekcja historii zacznie się od Westerplatte, bitwy pod Kutnem i walk podziemnych w Polsce okupowanej. Ująć tę martyrologię narodu w księgi pamiątkowe, w księgi święte, przesycić je uczuciem podziwu i wdzięczności, uczyć dzieci modlitwy za dusze lotników, marynarzy i konspiratorów polskich—oto przyszłe zadanie matki-Polki.

Ale ojciec głęboko doświadczony na tej straszliwej wojnie, ojciec, któremu dane było poznać kulturę brytyjską, ocenić jej zalety, spostrzec braki, winien uczyć swego syna po wojnie rozsądnego bohaterstwa, winien wychować typ młodzieńca, który nie tylko potrafi w każdej chwili umrzeć za Ojczyznę, ale umie dla Niej żyć w trudnościach codziennych, umie pracować pogodnie, uczciwie z pełną lojalnością dla przełożonych, z pełną życzliwością dla podwładnych, bez intryg, bez nieufności. Ojciec powinien uczyć syna prostoty i szczerości—dwóch podstawowych warunków życia zespołowego.

Widziałem w tej ostatniej podróży po Anglii wiele ciekawych rzeczy: ale może najsilniej utkwiła mi w pamięci karteczka, wywieszona, w oknie zamkniętego sklepu kolonialnego "somewhere in England." Treść była bardzo prosta: sklep jest zamknięty, ponieważ właściciel i cała obsługa poszli do wojska. Właściciel przeprasza klientelę i poleca się nadal łaskawym względom: "We shall return, when the war will be over. Thank you!"

Czyli . . . nie mają zamiaru zginąć, ale obiecują że wrócą napewno i zaraz staną za ladą. Taka trzeźwa wiara jest także potrzebna do zwycięstwa.

WIKTOR BUDZYŃSKI

P.S.

Po napisaniu tego felietonu otrzymałem w Londynie w redakcji "P.W." list, skierowany do redaktora pisma w sprawie moich felietonów. List ten przytaczam we fragmentach i odpowiadam na poszczególne ustępy.

List: . . . "Pan Budzyński choruje zapewne na nadkwasotę żołądka, jest zgryźliwy i złośliwy i, jakby celowo, ten nastrój niezadowolenia stara się czytelnikom zaszczepiać."

Ja: Jestem zdrów. Nastrój niezadowolenia płynie właśnie z tego, że jestem zdrów i staram się patrzyć na rzeczy trzeźwo.

List: . . . "Pomijam fakt, że przy każdej niemal sposobności porównywa pewne cechy angielskie z polskimi i zawsze prawie porównania te wychodzą na korzyść Anglii, nawet tam, gdzie to jest sprzeczne z rzeczywistością."

Ja: Jeżeli pewne rzeczy wychodzą w porównaniach na korzyść Anglii, to już oczywista wina leży tylko po jej stronie. Spróbujmy sojuszu z Włochami albo z Japonią. Mało kto nam pozostał do wyboru. To chyba nie jest sprzeczne z rzeczywistością.

List: . . . "Ta jego "metoda wychowawcza" prowadzi prostą drogą do budzenia wśród Polaków kompleksu niższości, czego zwłaszcza teraz w czasie wojny, gdy trzeba napięcia wszystkich sił i energii—należy starannie unikać."

Ja: Siłę i energię zdobyć można tylko wtedy, jeżeli zdajemy sobie sprawę ze swoich słabości. Unikanie tych uświadomień w czasie wojny, to prawie moralna przegrana.

List: . . . "Inaczej swoją rolę pisarską pojmował niegdyś n.p. Sienkiewicz, piszący "dla pokrzepienia serc," inaczej też wielka trójca romantyczna. Wprawdzie analogia ta to zbyt wielki zaszczyt dla pana Budzyńskiego."

Ja: Istotnie. Sienkiewicz "pokrzepiał," a Żeromski n.p. inaczej: "Rozdzierać trzeba rany polskie, aby się nie zabliźniły blizną podłości" . . . A co do "trójcy romantycznej"—to uważałem zawsze i uważam siebie za pojedynkę prozaiczną i z pretensji włączenia mnie do grona wieszczów zrezygnowałem jeszcze w dzieciństwie. I dobrze zrobiłem, bo jako czwarty "wieszcz" nie dałbym sobie rady z obecną emigracją.

List: . . . "Autor "Bez blackoutu" jest niełaskaw na obecną warstwę kierowniczą emigracji polskiej" . . .

Ja: Do czasu, do czasu, dopóki "warstwa kierownicza" jest łaskawa na autora.

List: "Walka "młodych" /n.b. ile lat ma pan Budzyński?/ ze starymi przybiera tu formę bardzo niesmaczną."

Ja: Mam lat 36. Skończyłem je 4 marca o godz. 0.45. jako rzeczywisty starszy strzelec. "Starzy" chcieli mnie pozyskać i dali mi "tytularnego kaprala." Ale ja "rzeczywiście" ciągnę do młodych. Poza tym jestem wrogiem podziału na "starych" i "młodych" i wypowiedziałem się publicznie za innym podziałem: na mądrych i głupich—co szczególnie po przeczytaniu omawianego listu z naciskiem podtrzymuję.

List: "Wyziera z jego uwag jakaś głucha niechęć do dygnitarzy i do "grubych ryb" . . .

Ja: Z tego listu wyziera jakaś wcale nie głucha, ukłuta "gruba ryba" . . .

List: "Nie przeczę, że niektórzy oczywiście lubią się upajać władzą, że jej czasem nadużywają, albo dają ją odczuć, ale czy jest dziś pora na podrywanie autorytetu władzy, na osłabienie dyscypliny i to właśnie w piśmie żołnierskim? . . ."

Ja: Polskie zakłamanie trwa. List omawiany jest jeszcze jednym dowodem, że była i jest najwyższa pora na omawianie tych spraw właśnie w piśmie żołnierskim. Trzeba właśnie mówić głośno, bez obsłonek, o tych, którzy upajają się władzą i . . . "dają ją odczuć." Dyscyplinę to wzmocni, osłabi tylko ludzi głupich, źle używających swojej władzy.

List: "Czy nie było by lepiej, gdyby pan Budzyński wydobywał więcej pierwiastów twórczych, a nie siał miazmatów rozkładowych, a jeżeli się nie może powstrzymać, to niech lepiej złamie pióro, a nie osłabia naszej energii narodowej. Z poważaniem M.B. /nazwisko nie ma znaczenia/."

Ja: Prawdopodobnie nazwisko nie ma znaczenia i dlatego nie złamię mego pióra. Radzę zaś p. M.B. wyładować swoją energię "narodową" na innym polu n.p. w fabryce czołgów, albo w lotnictwie przy podawaniu bomb. /N.b. ile lat ma p. M.B.?"/ Tam dopiero potrzeba "pierwiastków twórczych" dla rozsiania "miazmatów" rozkładowych na terenie nieprzyjacielskim.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £1,642

LOTNICTWO POLSKIE W ANGLII I SZKOCJI RODAKOM W ROSJI, ROK 1942.

Za pośrednictwem "Polski Walczącej" dziękuję Lwowskiej Fali za funta, którym "Fala" zainicjowała składkę na rzecz Polaków w Rosji a który zwielokrotnił się do sumy £29 d7½. Powyższa kwota została zebraną wśród szeregowców i podof. 16 Polskiej Szkoły Pilotażu.

Dla celów orientacyjnych podaję, że 16 Polska Szkoła Pilotażu zebrała i przekazała na rzecz Polaków w Rosji od dnia 16.12.41 do dnia 20.5.42 łączną sumę £295 sh.1 d.11.

Oficer Oświatowy

* * *

Z okazji ukończenia kursu Pilotażu złożyli uczniowie 7 kursu I Dyonu kwotę £22 sh.15 na pomoc Polakom w Rosji. Na ten sam cel złożył sierż. Mast. Sz. Sh. 12—jako zwrot długu od sierż. Kukl.

Załączając 2 Money Order na łączną sumę £23 sh.7 proszę o prze słanie tychże do P.C.K. z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

Komendant Polskiej Szkoły Pilotażu

* * *

Proszę przyjąć ten £1 jako pomoc dla naszych braci w Rosji, zamiast kwiatów dziękczynnych, dla zespołu Czołówki Teatralnej W.P., którzy to swym miłym występem zaszczycili nas, w jednym z dyonów bomb. w dn. 15.V.42.

Wincenty P.

W załączeniu przesyłamy £10 /dziesięć funtów/ od pracowników Polskiej YMCA za miesiąc maj br.—dla Polaków w Rosji.

Polska YMCA w W. Brytanii

* * *

Przesyłam £7 sh.14 /słownie siedem funtów, czternaście szylingów/ złożone przez uczniów Państwowego Liceum i Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Dunalastair House, na fundusz pomocy Polakom w Rosji.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę, złożoną przez uczniów dotychczas do £40 /słownie czterdzieści funtów/, z czego £11 d.10 zostało przekazane Urzędowi Oświaty, na ten sam cel.

* * *

Z okazji imienin narzeczonej, pozostałej w kraju, składam sh.10 na rzecz pomocy dla Polaków w Rosji.

L.B.

* * *

Na pomoc dla Polaków w Rosji przesyłamy kwotę £1 /jeden funt/ zamiast kwiatów na trumnę ś.p. Andrzeja Powierzy.

R. i J. Dzianottowie

Przesyłam £2 na pomoc Polakom w Rosji, jako równowartość munduru ofiarowanego bezinteresownie przez ppor. Żół. Karola dla brata mojego w niemieckim obozie jeńców.

mjr. Z.J.

* * *

Drogiemu przyjacielowi Wiesławowi Strzałkowskiemu składam w dniu imienin najserdeczniejsze życzenia przekazując zamiast upominku £1 na pomoc dla Polaków w Rosji.

Witold T.

* * *

W załączeniu przesyłam £1 na pomoc dla Polaków w Rosji.

W.G. z S.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £76 sh.11 d.7½ /słownie siedemdziesiąt sześć funtów, jedenaście szylingów, siedem i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,642.18.1 /słownie tysiąc sześćset czterdzieści dwa funty osiemnaście szylingów, jeden pens/.

Skrzynka pocztowa

RADA NARODOWA I INWALIDZI

Szanowny Panie Redaktorze,

W "Polsce Walczącej" nr. 21 znajduję w rubryce "Skrzynka pocztowa" list w sprawie ustalenia uprawnień i rent należnych inwalidom wojennym. Pozwalam sobie zwrócić uwagę, że sprawa ta była kilkakrotnie przedmiotem obrad Rady Narodowej R.P.

W dniu 31 października 1940 komisja budżetowa Rady Narodowej uchwaliła mój wniosek następującej treści:

"Rada Narodowa wzywa Rząd do utworzenia Komisji Rewizyjno-Lekarskiej celem stwierdzania związku przyczynowego cierpień inwalidów wojskowych i wojennych ze służbą wojskową oraz stopnia niezdolności do pracy, spowodowanego tą służbą."

Wniosek ten został następnie uchwalony bez zmian przez plenum Rady Narodowej.

W dniu 20 kwietnia 1942 Komisja budżetowa Rady Narodowej uchwaliła mój wniosek następującej treści:

"Rada Narodowa oczekuje przyspieszenia prac prawodawczych nad zaopatrzeniem inwalidów wojskowych i wojennych W.P. wojny obecnej, zwłaszcza zaś co się tyczy zgłaszania i udowadniania roszczeń do zaopatrzenia."

Nie wątpię, że wniosek ten lada dzień zostanie uchwalony także przez plenum Rady Narodowej.

Łączę wyrazy poważania

Adam Ciołkosz
przewodniczący Komisji Budżetowej Rady Narodowej.

* * *

W ogłoszonej niedawno broszurze p. Stanisława Mackiewicza p.t. "Czarnym Atramentem" znajduje się na stronie 18 następujące zdanie:

"Kiedy byłem członkiem Rady Narodowej to z inicjatywy p. Hermana Liebermana chciano mnie ukarać grzywną pieniężną dwudziestu pięciu funtów za pójście na Mszę żałobną za duszę ś.p. "Marszałka Piłsudskiego."

Jesteśmy upoważnieni do oświadczenia, że powyższe twierdzenie jest od początku do końca kłamstwem.

* * *

POSZUKIWANI:

Adamcio z Drohobycza, Balicki z Drohobycza, Bartnik Stanisław z Truskawca, Bielec Jan, Choms Wiesław, Dobrowolny Marian, Fiałka Kazimierz, Filar Zdzisław, Głowa, Kalczyński Jerzy, Kawa Franciszek, Reizner Franciszek, Solecki, Watral Zygmunt, Wojtuściszyn /wszyscy z Drohobycza/, Żukowski Zygmunt z Truskawca.

Wiadomości do Red. "Polski Walczącej" pod adresem: Dr. Mieczysław Młotek /50 Polish Forces, Egypt, Cairo, Middle East./

Z życia obozów

Nasz Wicek w "klipie"



— Dajcie spokój, dajcie spokój, ej ty Kizipek, mam iść do bania— prawił nasz namiotowy "Wicek" swojemu przyjacielowi, a wytrawnemu, poważnemu cekaemiście.

— Słuchajcie no Wawrzyn, a za bez co mom teroski siedzieć w klipie—wypytywał się mnie ów "Wicek", zwany przez nas w obozie Komendantem Wickiem.

Nie bardzo rozumiałem o co chodzi, a i mam wrażenie "Kizipek" nie zbyt wiedział w czym rzecz. Mimo natarczywych Wickowych nagabywań, popartych bystrym spojrzeniem błyszczących oczu.

Powoli rzecz się wyjaśniła. Chodziło o to, że nasz olimpijski "Wołodyjowski" wlepił tak bez żadnego ale "Komendantowi Wickowi" czternaście dni lekkiego. Za rzecz bynajmniej nie bagatelną, bo za przekroczenie rozkazu.

Wyszedł rozkaz nietańczenia. "Wicek", mimo złych przeczuć Kapitana, Szefa i Obserwatora Kancelaryjnego Witolda, dostał przepustkę; przepustkę wziął, odział się jak należy, uślicznił— i do pobliskiego miasteczka. Wicek jest szarmancki chłopak. Szkotki za nim przepadają. Udał się na zabawę. Taniec go skusił. Zatańczył. Oczywista, że w tańcu przekroczył rozkaz. Jak wiadomo, w takich okazjach "kanarkowie" jakby z pod ziemi wyrośli, że zaś "Komendant Wicek", osoba wielce popularna—to i odrazu dygnitarza namiotowego wynotowali.

Rezultat był taki, że następnego dnia, w asyście kapitana dowódcy udał się Wicek, nie mniej wyelegantowany, niż na zabawę, na publiczną pogwarkę z naszym "Wołodyjowskim." Na pogwarkę, która w języku regulaminowym nazywa się przepisowo: rąportem karnym. Wicek—karabiniarz, miał tylko tę pociechę, że zajączów było przy raporcie znacznie, znacznie więcej, nie mówiąc już o "dojedzeniowcach", którzy jak zawsze, tak i tym razem ustanowili swego rodzaju rekord.

"Wołodyjowski" przepisowo wypytywał przestępcę o postępek:

—Jak to tam było, Wincenty?

—Ano dziewy mnie źgały, melduję posłusznie, panie pułkowniku, tak źgały, że się nie precz odpędzi, że i zadansowałem, a byli żandary, nasza policyja. . .

—A co ważniejsze, taniec czy rozkaz?

—Rozkaz, panie pułkowniku.

Odszedł "Wicek" od raportu markotny, ba, wrócił do namiotu bogatszy o jedno doświadczenie oraz perspektywę niedaleką dwu tygodni lekkiego.

"Paka" jak wiadomo, nie może byś obca dobremu żołnierzowi. Byleby tej paki nie za dużo. Bo co za dużo to niezdrowo . . . Lecz Wicek długo, długo jeszcze potem nie wiedział, za co dostał "pakę", którą zresztą nazywał zgoła orginalnie bądź "banią"—bądź "klipą". Snadź w ten sposób chciał dać wyraz, że uroczyście przejmuje się swoim aresztem wojskowym. Dziewiczym aresztem dla niego, dziewiętnastoletniego żołnierza, przed tym górnika z kopalń belgijskich.

Nowe, nieznane przed tym słowo "bania", "klipa"—szybko przyjęło się w kompanii. I jeśli przyszły filolog szukać będzie rodwodu znaczenia słowa "klipa"—niech sięgnie do naszej



karabiniarskiej kompanii, a my sprowadzimy Wicka, jako wynalazcę tego wyrazu.

—Widzisz, Wicek, mawiał potem kapitan dowódca, ty wcale nie za taniec odsiadujesz, a za przekroczenie rozkazu. Niech ci koledzy z karabinu wyjaśnią znaczenie i różnicę tych pojęć . . .

—Wedle onego rozkazu, panie kapitanie.

I "Komendant Wicek", nasz namiotowy "Wicek" poszedł do "klipy". Stało się to już na tymczasowym miejscu postoju.

Z wieczora służbowy go grzecznie odprowadzał. Po pobudce zaś niemniej grzecznie przyprowadzał. Tyle, że przez noc nie był "Wicek" z nami. I tyle, że jego rozliczne narzeczone wszystkie chusteczki łzami przemoczyły z żałości, że przez długie dni czternaście Wicek od nich srogim wyrokiem "Wołodyjowskiego" oderwany. Choć to przez noc, ale ckliwo i smutno było bez Wicka.

Zawsze pamiętaliśmy, jak to w namiocie spać się kładąc na swe twarde, spartańskie namiotowe łoże—barwnie rozpowiadał o swoim domu, o ciężkiej pracy na kopalni, o tym, jak to "Belgijoki," a Walońskie, i Flamskie między sobą sprawowały się.

Siaki taki karabiniarz z "wzorowego" Wickowego karabina zawsze pamiętał, że jeśli się gdzieś na miasto wypuści—to winien przynieść jakiegoś "souvenire'a", by choć w ten sposób zaakcentować koleżeństwo względem odsiadującego swoją "klipę" czternastodniową Wicka. Więc się kolega wyprawił do miasta—no to rano Wicek dostał czekoladę. Inny czynił słodkie zakupy w pobliskim sklepie—aresztant dostał następnego dnia: kompot ananasowy.

W kantynie "Jurki" odbył się czwartkowy koncert. Pamiętny koncert. "Śpiewający Huczek" na nim dyrygował polskimi gardłami. Pewna "Lady Ogryljerka" uroczo kokietowała uśmiechniętego Szega. Zaś Obserwator Kancelaryjny Witold dał pierwszorzędne produkcje triumfalnego po warszawsku gwizdania na palcach. Koncert był poprzedzony zrozumiałą konsumpcją. Koledzy przynieśli Wickowi co smakowitsze kąski. Dostał je delikwent na śniadanie i bardzo mu smakowały, po nocy samotnie spędzonej w "klipie".

Nie myślcie, że niniejsza opowieść o pierwszej wojskowej "klipie" w życiu Wicka jest nawoływaniem go do przekraczania rozkazów i tym podobnych uchybień. Nigdy w życiu.

Dla Wicka tak ponure zjawisko jak pierwsza w jego życiu "klipa"—stało się zdarzeniem wstrząsającym. Tego lub "onego" wypytywał lub biadał, że nigdy w żadnym "baniu" nie siedział a "teroski" za co, za "dansowanie", za to, że go "dziewy źgały"— musi siedzieć.

Od Fryderyka Wielkiego do Komoroszczaków i Piskorowszczaków razem wziąwszy panuje przekonanie—że jeśli należycie przykre doświadczenie przebędzie to jego, Wicka, "klipa" tylko zahartuje, i w ten sposób nabędzie dalszej wiedzy karabiniarza, jak to na przyszłość już wszelkiej niemiłej "klipy" unikać.

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI



rysunki JANA STERLINGA

Poradnik żołnierski

Do tej pory odpowiadaliśmy indywidualnie na wszystkie listy przesyłane do redakcji, w miarę możności usiłowaliśmy służyć radą i pomocą naszym Czytelnikom. Ostatnimi czasy ilość listów w rozmaitych sprawach stała się tak znaczna, że uznaliśmy za pożyteczne stworzyć nowy dział: "Poradnik żołnierski." Będziemy w nim odpowiadać przede wszystkim na te listy, które poruszają kwestie mogące interesować większą ilość osób. W sprawach, których nie można poruszać w druku ze względów tajemnicy wojskowej, lub w sprawach ściśle prywatnych będziemy nadal odpowiadać imiennie. Odpowiedzi będą się ukazywać w "Poradniku" mniej więcej w dwa tygodnie po otrzymaniu listów. W sprawach, które wymagają specjalnych badań lub poszukiwań, termin ten może być przekroczony.

1/42

Sgt. K. Sak. Polish Squadron.

Na list Pana z 3.III. b.r. uprzejmie zawiadamiamy, że jesteśmy w stanie udzielić Panu żądanej pomocy. Prosimy o przysłanie nam omawianej książki oraz dokładnego adresu odbiorcy. Będziemy zobowiązani za zawiadomienie nas w swoim czasie czy książka trafiła do rąk adresata.

2/42

Kprl. W. Łab.—Szpital—Szkocja.

Radzimy odłożyć wysyłkę na później. W tej chwili jest ona niewskazana, a nawet zdaniem kompetentnych czynników—niemożliwa. Powód: wojna i cenzura.

3/42

Kpt. A. Wojt. P/76. Polish Forces.

Na list z 25.II.42—szczegółowe wyjaśnienia przesłaliśmy pocztą.

4/42

P. W. Barzykowski—Stockton.

Żadnego adresu /poczty/ udzielić nie możemy. Prosimy o ewentualne bliższe szczegóły. Postaramy się dać wyczerpującą odpowiedź.

5/42/Z

B.W.—Szkocja.

Sprawę urlopów reguluje szczegółowo Dziennik Rozkazów Nr. 1/41, pozycja 3. Oto najważniejsze wyjątki:

"1/ udzielanie, kolejność i czas trwania urlopów uzależnione są w pierwszym rzędzie od potrzeb i wymagań służby.

2/ Rodzaje urlopów:
- a/ zwolnienie za przepustką,
- b/ urlop wypoczynkowy,
- c/ urlop leczniczy,
- d/ urlop ze względów służbowych,
- e/ urlop okolicznościowy.

Zwolnienie za przepustką może uzyskać podoficer lub szeregowiec w dni świąteczne na czas nie przekraczający 48 godzin. Udziela dowódca kompanii według wytycznych dowódców o uprawnieniach dcy baonu.

Urlop wypoczynkowy przysługuje żołnierzom co 4 miesiące i wynosi 6 dni—dla żołnierzy zaś odznaczonych za waleczność po dniu 1.IX.1939— 8 dni.

Urlop wypoczynkowy niewykorzystany w jednym okresie może być wykorzystany w jednym z następujących okresów, o ile wymogi służby na to zezwalają.

Urlopu wypoczynkowego podofic. i szereg. udzielają przełożeni o uprawnieniach co najmniej dcy baonu.

Urlop leczniczy może być udzielony:
- —żołnierzom opuszczającym szpital wojskowy /rekonwalescentom/ w wymiarze 8 dni—udzielają kdci szpitali,
- —na podstawie orzeczenia lekarskiego wydanego przez szpital wojskowy lub orzeczenia wojsk. —lekarskiej komisji rewizyjnej. Czas trwania urlopu leczniczego nie może przekraczać 6 miesięcy w ciągu roku kalendarzowego. Udzielają—do sześciu tygodni przełożeni o uprawnieniach dcy pułku; ponad 6 tygodni—dca korpusu.

Urlop ze względów służbowych w wymiarze 4 tygodni może otrzymać żołnierz po powrocie z niewoli lub z obozu internowanych, jeżeli czas pozostawania w niewoli lub w obozie internowanych wynosi co najmniej 6 miesięcy. Urlopu ze względów służbowych udzielają przełożeni o uprawnieniach co najmniej dcy pułku.

Urlopy okolicznościowe:
- —świąteczne—czas trwania określa każdorazowo N.W.
- —w ważnych sprawach osobistych —nie mogą przekraczać w roku kalendarzowym 7 dni.

Udzielają podoficerom i szereg. przełożeni o uprawnieniach dcy baonu.

3/ Ze względu na potrzeby służby, warunki transportowe, zdrowotne i t.d. Dca Korpusu może wstrzymywać czasowo zwolnienia za przepustką oraz urlopy odpoczynkowe i okolicznościowe, ograniczyć procentowo ilość równocześnie urlopujących żołnierzy w oddziałach wreszcie zakazać lub ograniczyć możność udzielania żołnierzom zwolnień za przepustką i urlopów do pewnych miejscowości lub okręgów."

Jak Pan widzi zagadnienie to jest uregulowane i to szczegółowo. Nie mamy wątpliwości, że przepisy powyższe są również praktycznie stosowane. Zresztą nie narzekajmy— jesteśmy przekonani, że był Pan w błędzie i że po tym wyjaśnieniu uzna Pan swe żale za nieuzasadnione.

W następnym "Poradniku" znajdzie Pan dalsze szczegóły dotyczące należności przysługujących podoficerom i szeregowcom za czas urlopu.

6/42 Z.

K.M.—Szkocja.

Tytuł /nie stopień/ podchorążego przysługuje według obowiązującego stanu prawnego każdemu podoficerowi lub szeregowemu, który ukończył z wynikiem pomyślnym Szkołę lub Kurs Podchorążych. Uzyskanie tytułu podchorążego jest wypełnieniem jednego z podstawowych warunków wymaganych do mianowania oficerem służby stałej lub oficerem rez. Szczegóły tego zagadnienia reguluje Dziennik Rozkazów Nr. 1/41 poz. 7.

Wyjaśniamy: nie ma stopnia wojskowego "szeregowy z cenzusem." Słowo cenzus /w danym wypadku naukowy/ jest pojęciem, określającym wymagane—zależnie od okoliczności i warunków—wykształcenie. Np. przyjęcie obecnie do Szkoły Podchorążych uzależnione jest od ukończenia co najmniej 6 klas szkoły średniej /równorzędnej/ lub 4 klas gimnazjalnych nowego typu.

Przypuszczamy, że zrozumie Pan powody uzasadniające nieuznawanie stopnia czy tytułu "z cenzusem." Bo gdyby miało być inaczej, to ze względów sprawiedliwości należało by wprowadzić tytuły: "Szer. z cenzusem gimnazjalnym z maturą" lub "kpr. z cenzusem politechniki warszawskiej" względnie "st. strz. z cenzusem 6 klas gim." Wie Pan czym to grozi? Nową ewidencją!

7/42 R.

Sierż. pil. J.M.

Niestety nie ma dotąd żadnych obszerniejszych przedruków z prasy i wydawnictw tajnych, wydawanych w Kraju. W niedługim czasie ukaże się nakładem "Książnicy Polskiej" w Glasgowie /242 Hope Street/ "Antologia poezji współczesnej." Będzie to przedruk zbioru wierszy patriotycznych powstałych po wrześniu 1939 i ogłoszonych konspiracyjnie w Warszawie. Kilka z tych utworów drukowaliśmy w "Polsce Walczącej" /nr. 25, 37 z 1941 r./. Oczywiście w tym tomie znajdzie Pan wymowne świadectwa oporu Kraju wobec okupanta. Jeśli Pan swobodnie posługuje się językiem angielskim, bez większych trudności będzie Pan mógł zapoznać z nimi swoich przyjaciół.

8/42 R.

Ppor. obs. Z.W. (R.A.F.)

Oczywiście chętnie będziemy pośredniczyć w nawiązaniu korespondencji z "Lwowską Falą" i p. Budzyńskim. Wszystkie listy przesyłane do redakcji dla osób trzecich są im natychmiast przekazywane.

9/42 R.

Bomb. podch. E.Ż.

Nie wiemy czy wszystkie uniwersytety w Wielkiej Brytanii uznają instytucję słuchaczy externów, ale napewno istnieje ona w uniwersytecie londyńskim. Jest nam konkretnie wiadomo, że grupa kilku kolegów samorzutnie zorganizowała sobie takie studia i obecnie, pozostając w jednostce, w godzinach pozasłużbowych, przygotowuje się zbiorowo do "Intermediate External Examination in Economics." Informacji o takich studiach można zasięgnąć pisząc pod następującym adresem: Richmond College, Richmond /Surrey/ "Advisory Service for External Candidates." Sądzimy, że na pokrycie opłat i taks egzaminacyjnych udałoby się uzyskać pieniądze z funduszów publicznych.

Jednodniówka lotnicza

Kto jak kto—ale lotnictwo polskie w Anglii ma prawo mówić i pisać o sobie. Gdy po wojnie będziemy przeglądać różne publikacje ukazujące się obecnie na terenie W. Brytanii, wiele będzie takich, które z niesmakiem będziemy brać do ręki. Każde jednak słowo o lotnikach będzie drogie a prasa i wydawnictwa lotnicze będą przedstawiały największą wartość.

Leży przed nami gustowna jednodniówka w języku angielskim p.t. "*Farewell impressions*" /pożegnalne wrażenia/—wydana przez personel polski jednej ze szkół pilotażu R.A.F.'u, przez którą przeszły w ostatnim czasie setki Polaków, ucząc się tego najszlachetniejszego rzemiosła żołnierskiego.

Na okładce jednodniówki motto: "my nie prosimy o wolność, ale o nią walczymy." Dalej we wstępie garść wiadomości o Polsce. O morzu polskim — Gdyni — Wiśle — Tatrach— Wilnie — Warszawie — Krakowie —Lwowie, o sławnych Polakach: Koperniku — Skłodowskiej — Kościuszce — Szopenie — Conradzie Korzeniowskim—Paderewskim . . Nie ma jednak za dużo rozpamiętywania naszej przeszłości. Krótki wstęp kończy się przypomnieniem, że Polska pierwsza przeciwstawiła się żądaniom niemieckim i rozpoczęła nierówną walkę.

Lotnicy nasi poświęcają sobie ledwie jedno zdanie: "We wrześniu 1940 tylko dwie polskie eskadry brały udział w bitwie o W. Brytanię, jednak 14 o/o wszystkich strąconych w tym czasie maszyn niemieckich— to dzieło lotników polskich."

Dalej na 16-tu stronach jednodniówki fotografie polskich samolotów: Łosia, Karasia, Mewy i P.Z.L.24, karykatury i fotografie dowódców i instruktorów stacji i ich oświadczenia na temat współpracy z Polakami i ciekawe spostrzeżenia jakie wynieśli ucząc Polaków pilotażu.

Wszyscy oni zgodnie podkreślają niezwykły entuzjazm, chęć lotów i walki u Polaków, ich przedsiębiorczość i zawsze dobry humor. Jeden z instruktorów twierdzi, że u Polaków tylko wtedy obserwował zły humor, kiedy niepogoda uniemożliwiała loty.

Lotnik angielski, który odkomenderowany został na instruktora do Polaków opowiada jak to przed odejściem ze swojego oddziału usłyszał od kolegów wiele uwag i przestróg na temat Polaków. Przestrzegano go, że nie dostanie ani papierosów ani whisky, że każda ładniejsza dziewczyna otoczona jest kilku lotnikami polskimi, nakazywano mu, aby na loty ćwiczebne nigdy nie dawał Polakom za dużo benzyny bo inaczej polecą nad Berlin choćby z *Tommy Gun'em.*

Jeden z dowódców w ten sposób żegna się z Polakami: "Życzę Wam abyście zestrzelili jak najwięcej maszyn niemieckich. Mam nadzieję, że po wojnie napijemy się razem w Royal'u w Warszawie. Będzie nam usługiwał wtedy Goering jako kelner. Gdy nam przyniesie "vodka" powiemy mu: yestes d . . . z ushami . . ."

W jednodniówce nie brak jest też oświadczeń Angielek. Ciekawie, po kobiecemu, charakteryzują one Polaków nie szczędząc im słów sympatii i uznania za ich rycerskość, odwagę i wesołość.

Koledze Laszkowskiemu, którego dziełem jest ta jednodniówka, należą się gratulacje za nader interesujący układ tekstu i opracowanie graficzne jednodniówki. Jest ona nie tylko miłą pamiątką, ale cennym materiałem propagandowym na wszystkie kraje anglosaskie.

MIECZ

Co myślą i piszą Polacy w Ameryce?

O POSTAWĘ WOBEC OKUPANTA

Społeczeństwo polskie w Stanach Zjednoczonych, choć ma dziś dość własnych, bliskich, dotykalnych bolączek, choć zaprzątnięte jest biegiem wojny z Japonią, mimo to ani na chwilę nie traci z oczu rzeczywistości polskiego życia w kraju. Śledzi wszelkie, nawet najdrobniejsze, przejawy polityki okupacyjnej i natychmiast żywo na nie reaguje. Nie ogranicza się do rejestrowania faktów, ale stara się je oceniać krytycznie i naświetlać z punktu widzenia aktualnych potrzeb i interesów narodowych. Miarą tej reakcji może być choćby potępienie kroku Leona Kozłowskiego. Prasa ocenia ten postępek ostro, nazywa go bez ogródek "dezercją i zdradą." Pod takim tytułem pojawił się artykuł w socjalistycznym "Robotniku Polskim," który słusznie stwierdza, że:

"Niedopuszczalne jest, aby akty dezercji i zdrady najwyższych do niedawna dygnitarzy państwowych mogły przechodzić bez echa w polskiej opinii publicznej. Musimy zabrać głos i zająć stanowisko wobec czynu Kozłowskiego. Kiedyś historia, obok faktu zdrady, musi przytoczyć i głosy oburzenia współczesnych."

Zgodnie z tą słuszną postawą "Robotnik Polski" tak ocenia krok Leona Kozłowskiego, który został aresztowany i wywieziony ze Lwowa w czasie okupacji sowieckiej:

"Potępiamy jak najbardziej stanowczo i wykreślamy z grona Polaków tego dezertera, potępiamy i ostrzegamy przed systemem myślenia, który w ogniu walki rodzi takie czyny. Pakt polsko-sowiecki przywrócił mu wolność. Kozłowski zaczął rozwijać działalność wśród uchodźctwa polskiego w Sowietach. Starał się wykorzystać poczucie krzywd, doznanych od Sowietów, nurtujące masy umęczonych i zbiedzonych uchodźców, więźniów i zesłańców polskich i próbował na tym tle wywoływać sympatie proniemieckie. To była "orientacja," myśl polityczna i zadania, jakie postawił sobie b. premier Kozłowski. Nie otrzymał posady w Ambasadzie. Przyjęto go do wojska i przywrócono stopień porucznika. Trwało to jednak bardzo krótko. Nie znalazłszy wśród Polaków oparcia dla orientacji proniemieckiej, pan premier samotnie zdezerterował.

B. premier Leon Kozłowski, jeden z najwybitniejszych działaczy sanacyjnych—uciekł potajemnie z szeregów wojska, szykującego się do walki. Uciekł i przeszedł na stronę wroga. W Berlinie udziela wywiadów prasie zagranicznej.

Była to zdrada i dezercja.

Obojętnie, jak traktują w Berlinie "Leutnanta Kozłowskiego." Nie chcemy wiedzieć. Być może, jest to figura, która zdolna byłaby odegrać rolę polskiego Quislinga. Wiemy jedno: z dezercją z szeregów armii polskiej z Z.S.R.R. i ze zdradą, której się dopuścił, uciekając do wroga, Leon Kozłowski umarł śmiercią cywilną dla wszystkich uczciwych ludzi, a z nim skompromitowała się cała "orientacja proniemiecka," i jej jawni i ukryci zwolennicy.

W kraju czy na emigracji—świat myśli i moralności Kozłowskich prowadzi do zdrady."

Podpisując się całkowicie pod tą słuszną, choć jakże bolesną i przykrą oceną kroku Leona Kozłowskiego, jako polityka, można wyrazić równocześnie żal, że jego postępek jest także przykrym wyłomem w niezwykle solidarnej, bohaterskiej postawie polskiego świata uniwersyteckiego wobec okupanta. Leon Kozłowski należy do tego środowiska jako profesor prehistorii na wydziale humanistycznym uniwersytetu lwowskiego. Cała przepaść odczuwań i przemyśleń rozwarła się pomiędzy krokiem Leona Kozłowskiego dziś przebywającego w Berlinie a męczeństwem profesorów krakowskich, lwowskich, poznańskich, warszawskich i lubelskich. Jedni poszli drogą kaźni oranienburskiej, Pawiaka czy Brygidek, zostali—jak Bartel, Kopeć, czy Kazimierz Zakrzewski — rozstrzelani przez Niemców. Wszyscy wybrali bez wahań tę drogę. Kozłowski był j e d y n y m, który również bez wahań poszedł innymi torami. Nie ma wątpliwości co do tego, jaka będzie reakcja polskiego środowiska naukowego po wojnie wobec te~o, który poszedł na współpracę z okupantem, dziesiątkującym bezlitośnie ludzi polskiej nauki.

STRATY POLSKIEJ NAUKI HISTORYCZNEJ

Podkreślałem już raz na łamach "Polski Walczącej," że nasza prasa emigracyjna, jakby tknięta jakimś porażeniem uczuciowym, przemilcza niemal całkowicie śmierć najwybitniejszych pracowników życia kulturalnego w kraju. Śmierć uczonego tej miary, co Ludwik Krzvwicki, nie znalazła żadnego echa na łamach pism, które deklamując przy każdej okazji o swojej wrażliwości i zrozumieniu dla spraw kulturalnych, całą energię wyładowują w drobnych ukłuciach pod adresem paktu polsko-sowieckiego czy społeczeństwa polskiego w Ameryce. Wiadomość o śmierci L. Krzywickiego odbiła sie natomiast echem na łamach polskiej prasy w Stanach Zjednoczonych.

Dziś znów zaszedł podobny fakt: w naszej londyńskiej prasie emigracyjnej, uwikłanej w małe gierki polityczne, ba gorzej, czysto osobiste rozgrywki, daremnie szukałby ktoś jakiegoś bodaj skromnego wspomnienia poświęconego uczonym tak wybitnym, jak Władysław Abraham, Józef Siemieński, czy Kazimierz Zakrzewski. Wyręczyła nas na szczęście polska prasa w Stanach Zjednoczonych,—prasa społeczeństwa, na które tu w podrażnieniu jeden z publicystów rzucał gromy potępienia za jej obojętność wobec kultury polskiej. Tymczasem kilka największych pism polskich w Stanach Zjednoczonych—od "Nowego Świata" poprzez "Dziennik dla Wszystkich" do "Dziennika Związkowego"—nie zawahało się przed umieszczeniem gorąco odczutego wspomnienia Prof. Oskara Haleckiego, mimo że nazwiska trzech zmarłych specjalistów-historyków nie były z pewnością zbyt określoną, znaną kategorią dla społeczeństwa polskiego w Ameryce:

"Nieubłagana, niszczycielska walka, jaką prowadzą Niemcy przeciwko nauce i kulturze polskiej, zwraca się ze szczególną zaciekłością przeciwko jednej jej gałęzi: przeciwko historii. Wszak żadna inna dziedzina wiedzy nie jest ściślej związana z polskością, bardziej podstawowa dla obrony naszych praw narodowych, wymowniejszym świadectwem rdzenności i odwieczności naszej kultury. Żadna też nie ucierpiała bardziej przez zniszczenie materiału źródłowego, na jakim się opiera: zabytków i dokumentów, które spłonęły podczas kampanii wrześniowej, a w większej jeszcze ilości zostały rozmyślnie unicestwione lub systematycznie rozgrabione i wywiezione do Niemiec. Mimo to jednak, w tej dziedzinie, jak w każdej innej, najbardziej niepowetowane straty są w ludziach, w czołowych zwłaszcza przedstawicielach danej nauki. Zmarli niedawno trzej historycy reprezentują trzy kolejne pokolenia historyków polskich.

Do najstarszego, które rozpoczęło swą świetną działalność jeszcze w okresie niewoli, przed pierwszą wojną światową, należał jeden z ostatnich, ś.p. Prof. Władysław Abraham. Specjalnością jego była historia kościoła i prawo kościelne, a niewyczerpaną kopalnią z której czerpał — Archiwum Watykańskie, którego zawartość pierwszy przeorał z punktu widzenia polskiego średniowiecza, kierując następnie przez długie lata, z ramienia Polskiej Akademii Umiejętności, systematycznym wyczerpywaniem i publikowaniem tych wielu tysięcy dokumentów.

Brak naukowego opracowania dziejów Kościoła Katolickiego w Polsce, daje się odczuć tym dotkliwiej, że dla żadnego państwa i narodu te właśnie dzieje kościelne nie miały większego znaczenia, politycznego, kulturalnego i ustrojowego. Zdając sobie doskonale sprawę z tej palącej potrzeby, Abraham rozpoczął pracę od podstaw, przedstawiając początki naszej organizacji kościelnej, której niezależność od Niemiec, przez naukę niemiecką tak niesłusznie kwestionowana, była zarazem filarem niepodległości państwowej. Posuwając się potem naprzód do późniejszego średniowiecza, zwłaszcza do XIII i XIV wieku, Abraham spostrzegł, jeden z pierwszych, olbrzymie znaczenie polskiej pracy misyjnej na rusko-litewskim Wschodzie, tej najdawniejszej a zarazem najpiękniejszej strony naszej ekspansji kulturalnej. To też w rozszerzeniu polskiej pracy historycznej na dzieje kresów wschodnich, co było jednym z ważniejszych wyników dziejopisarstwa naszego w ostatnim półwieczu, Abraham odegrał pierwszorzędną rolę."

Pokolenie w sile wieku, w pełni aktywności naukowej, reprezentował Józef Siemieński:

"Jego specjalnością była historia ustroju Polski, w której to dziedzinie utartemu potępianiu ustroju staropolskiego przeciwstawiał o wiele głębsze, niezwykle subtelne ujęcie głównych właściwości tego ustroju, zwłaszcza parlamentaryzmu polskiego, w jego najbardziej twórczym okresie, t.j. XVI stuleciu. Zaczął i ukończył swoją działalność na katedrze tego przedmiotu: w zaraniu naszej niepodległości—na organizującym się wówczas Uniwersytecie Warszawskim, a w przededniu obecnej wojny—na Uniwersytecie Jagiellońskim. W międzyczasie jednak poświęcił kilkanaście lat życia Archiwum Głównemu. Siemieński był czymś więcej niż jego dyrektorem: był zamiłowanym badaczem, najlepszym znawcą i najwierniejszym strażnikiem tego istnego skarbca najdostojniejszych pamiątek ojczystych. Wierzyć się wprost nie chce, że w Oświęcimiu właśnie życia dokonał ten pełen delikatności uczucia miłośnik kultury polskiej, który na zjeździe ku czci Jana Kochanowskiego, przedstawił krótką, lecz wręcz niepospolitą pracę o kulturze politycznej wieku Zygmuntowskiego, a przedtem jeszcze niezrównany wystawił pomnik największemu przedstawicielowi tej właśnie kultury: Janowi Zamoyskiemu. Kilka grubych tomów "Archiwum Jana Zamoyskiego," jakie wydał Józef Siemieński, jest to wzór wydawnictwa materiałów do historii Polski nowożytnej, wzór, którym chlubić się możemy przed obcymi.

"Najmłodszym był Kazimierz Zakrzewski. Należał on do historyków polskich, którzy sięgnęli do obcych na pozór zagadnień dziejów powszechnych. Należał do pokolenia, które wykształciło się już w Wolnej Polsce, i chciało wywalczyć nauce naszej miejsce i w takich również dziedzinach, jakie zaprzątnięta losem własnego narodu, zaniedbywała do niedawna. Na kilka lat przed wojną Zakrzewski został powołany na pierwszą w Polsce katedrę historii bizantyńskiej, przedmiotu zresztą tylko pozornie odległego od dziejów państwa, które od sześciuset lat obejmowało rozległe ziemie ruskie. Młody uczony zaczął swoją działalność od wnikliwych badań nad historią cesarstwa rzymskiego i przyczynami jego upadku. Doszedł tą drogą do owego, tak nieraz opacznie rozumianego, dalszego ciągu dawnego imperium, jakim było średniowieczne Bizancjum. Napisał pierwszy polski zarys dziejów bizantyńskich, od początku aż do zajęcia Konstantynopola przez krzyżowców w r. 1204, świetny rozdział pierwszego polskiego wyczerpującego przedstawienia historii powszechnej, które to wielotomowe, zbiorowe wydawnictwo zostało ukończone niedługo przed wybuchem wojny."

Śmierć W. Abrahama zamyka kartę świetnego okresu w dziejach wydziału prawnego, a po części i filozoficznego, uczelni lwowskiej na początku XX wieku, którego końcowy wydźwięk przypadał na pierwsze lata odrodzonej po wojnie światowej państwowości polskiej. Balzer, Abraham, Porębowicz, Twardowski, Bruchnalski reprezentowali wówczas elitę naukową Lwowa, wywierając olbrzymi wpływ na kształtowanie myśli całego pokolenia młodzieży akademickiej.

Do wspomnień o Józefie Siemieńskim, niech tu będzie wolno dorzucić jeden szczegół, wymownie charakteryzujący jego przywiązanie do Archiwum Głównego z czasów obrony Warszawy. Jak mi opowiadał zimą r. 1939 w kraju jeden z bibliotekarzy—ofiarności i odwadze Siemieńskiego zawdzięcza Archiwum ocalenie od pożaru w czasie walk. Siemieński stał na dachu czy strychu Archiwum i z pomocą jednego woźnego gasił przez cały czas oblężenia Warszawy liczne bomby zapalające, jakie bezustannie padały na stary gmach archiwalny. Był to ostatni—jakże wzruszający — przejaw przywiązania do warsztatu pracy, w którym zawsze najżyczliwiej ułatwiał pracę badaczom sumiennym, a tępił dyletantów czy blagierów.

Wspomnienie Prof. Haleckiego odsłania tylko jedną stronę życia Kazimierza Zakrzewskiego: jego działalność naukową. Pozostaje druga dziedzina jego działań, polityczna. Znajdowała ona wyraz w pracy na terenie związków zawodowych /Z.Z.Z./ i w propagandzie haseł syndykalistycznych w obozie piłsudczyków.

PRZEŚLADOWANIA MŁODZIEŻY W KRAJU

Obok inteligencji jest to niewątpliwie odłam narodu najbardziej w tej chwili wystawiony na prześladowania okupanta. Aresztowania, łapanki, branka na roboty do Rzeszy, bezczynność, ciężkie warunki materialne—to wszystko składa się na ponury nad wyraz obraz bytowania młodzieży. Prasa amerykańska wiele poświęca uwagi temu zagadnieniu. I tak "Nowy Świat" przynosi wiadomość, że:

"Niemcy odrzuciły podanie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o zezwolenie na wyjazd pewnej ilości głodnych dzieci polskich z pod okupacji do Szwajcarii. Wedle planu przedłożonego w Berlinie w grudniu ub.r. starano się o otrzymanie zezwolenia na wysłanie do Szwajcarii 5,000 dzieci polskich, którymi miały zaopiekować się rodziny wieśniaków helweckich w okresie miesięcy letnich 1942. Na podkreślenie zasługuje fakt, że Niemcy zgodzili się na przepuszczenie 10,000 dzieci greckich do Szwajcarii, Szwecji i Egiptu."

Zmianę w postawie młodzieży wobec szkoły w zestawieniu z warunkami życia poprzedniego pokolenia, charakteryzuje R. Bychowski w artykule: "Młodzież bez szkół" jaki się ukazał w "Odsieczy" i "Dzienniku dla Wszystkich."

"Wam łatwo—mówili ojcowie—my przez dziesiątki lat niewoli uczyć się musieliśmy w trudnych warunkach, potajemnie studiować historię i literaturę polską. W 1905 przerwaliśmy naukę w ogóle, urządziliśmy strajk szkolny. Wam łatwo.

Z wydarzeniami jesiennymi roku 1939 przyszedł dla polskiej młodzieży nowy okres próby, trudniejszy jeszcze i cięższy niż dla tamtego pokolenia. Tamci—ludzie poprzedniego pokolenia—rodzili się pod zaborem, od małego wychowywali w atmosferze ciągłej walki, konspiracji. Młode pokolenie polskie, urodzone i wychowane w wolnej Polsce, o walce, konspiracji, tajnej nauce wiedziało tylko z historii i z opowiadań. Chodziło do polskich szkół, uczyło się z polskich podręczników, co rok przechodziło z klasy do klasy, i na myśl nawet nie przyszło nikomu z młodych, że może być inaczej. I dlatego ta próba, którą teraz przechodzą nasi młodzi w kraju, cięższa jest o wiele od tego, co przeżywali ich ojcowie.

A jednak nie poddali się. A jednak trwają i nie dali się wykoleić. Więcej jeszcze. W tych warunkach, w jakich żyją, potrafili rozwinąć ducha współpracy, walki podziemnej, odrodzić najwspanialsze tradycje z przed lat."

Udział młodzieży w pracy podziemnej, odżycie ruchu samokształceniowego—to strony dodatnie jej życia. Ale są cienie tak groźne w tym życiu młodzieży w kraju, że one przeważają w obrazie ogólnym nad stronami jasnymi. Wyniszczenie, długotrwałe bezrobocie, zahamowanie dopływu młodych sił wykwalifikowanych—oto objawy nad wyraz groźnej sytuacji, która się odbije na całokształcie życia narodowego. Jej tragizm powiększa okoliczność, że jesteśmy na emigracji niemal zupełnie bezsilni wobec tych zjawisk.

ADAM ORDĘGA

Zarząd Związku Inwalidów Armii Polskiej w W.B. podaje do wiadomości wszystkich Inwalidów, że przyjmowanie na członków Związku przeprowadza oraz udziela wszelkich informacji dotyczących spraw organizacyjno-inwalidzkich Sekretariat Zw. Inwalidów Armii Polskiej w Wielkiej Brytanii, którego tymczasowa siedziba mieści się w Eliock House by Sanquhar D.F.S. Scotland.

SPIS RZECZY

Batalion Podhalański, który przejął tradycję Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich powiadamia, iż Święto Batalionu w dniu 28 maja będzie obchodzone ściśle w ramach oddziału.

Zaproszenia indywidualne nie będą rozsyłane.

Dowódca i Korpus Oficerski Batalionu

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.